Wpisano do kontroli periodyków
Miejskiej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 28. II. 1960 r.
Nr 8 (104)
Cena 1 zł

STUDNIÓWKI, STUDNIÓWKI — patrz str. 3

MAREK WAWRZKIEWICZ

Po łódzkich kabaretach przechadzka w miarę liryczna

Ta mała plia dziś... — to tytuł piosenki śpiewanej przez Basię w Kabarecie Klubu ZMS „Sezam".

ZAMIAST WSTĘPU

Najpierw był zamiar. Zamiar niewielki i płochy. Chodziło o zrecenzowanie programu jednego kabaretu. A potem bardzo wiele łażenia, rozmów, oglądania, nie skończyło się na jednym. Zdawałoby się, że to nic trudnego: kabaret. No ale kto mi da jego definicję? Nikt? Zajrzyjmy więc do encyklopedii.

Encyklopedia Trzaski i Everta: „Kabaret (z francuskiego dosłownie szynk-gospoda) teatrzyk".

Encyklopedia Gutenberga: „Kabaret (z francuskiego) gospoda, szynk, od lat osiemdziesiątych XIX wieku określenie knajp cyganerii literackiej i artystycznej w Quartier Latin i Montmartre w Paryżu, w których artyści — wykonawcy zabawiają publiczność produkcjami satyrycznymi, dowcipami piosenkami itp".

I jeszcze encyklopedia PWN: „Teatrzyk o lekkim repertuarze składającym się z krótkich scenek, monologów, piosenek i tańców".

Wszystko już wiedzielibyśmy, gdyby nie to, że my mamy tradycje. To „my" powiedziane jest w poczuciu silnej dumy narodowej. Za tym „my" jest Sempoliński, Hanusz, Ordonówna, Górska Jarosy, Dymsza... Za tym „my" jest „Zielony Balonik" „Momus" „Qui pro quo". „Morskie Oko" i jeszcze wiele, wiele znanych, i wspominanych kabaretów. Każdy był inny. Czy nam troche ta tradycja nie przeszkadza w określaniu naszej łódzkiej „kabaretowej rzeczywistości"?

Działa u nas w Łodzi okolo

Dalszy ciąg na str. 6 i 7

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

CUDÓW NIE MA

Przyznam sie szczerze, że mnie zaniepokoił felieton Jana Koprowskiego — „Do młodych i starych" („Dziennik Łódzki" nr 40). I to z dwóch powodów. Koprowski oburza sie na publiczność teatralna. I kiedy powiada, że nie trzeba szurać nogami, szeleścić papierkami, ani rozmawiać podczas przedstawienia, z pewnością ma rację. Problem co prawda nie nowy, że przypomnieć słynny felieton Tuwima — „Kinochamy", ale — widać — wciąż aktualny. Mógłbym jeszcze dodać — plujcie do spluwaczek, papierki wrzucajcie do kosza, nie depczcie trawników, spacerujcie prawą strona chodnika, nie męczcie zwierząt, szyb nie wybijajcie, milczcie gdy mówią starsi, i tysiąc innych wskazań moralnych. Jeżeli tego nie czynie, to dlatego, że nie chce powtarzać uroczystych komunałów.

Ale felietonista „Dziennika Łódzkiego" dotknął i innej sprawy. Powiada mianowicie, że podczas „Nieboskiej komedii" młodzież liceala zaśmiewała sie i to w miejscach jak najmniej do tego odpowiednich. Smutne? Bardzo nawet. Od siebie moge dodać, że i na przedstawieniu „Wesela" młodzież doskonale bawiła sie w momentach najbardziej dramatycznych. Tylko że Koprowski sprowadza zagadnienie do „rozumu i serca" albo inaczej — pracy wychowawczej nauczycieli. Ponieważ uczestniczycie w wielkiej narodowej mszy literacko-teatralnej, siedźcie cicho, drogie dziatki. Rozumieć nie musicie. A jeśli dziatki hałasują — winien nauczyciel, który przecież przez pietnaście lat mógł zapalić młodzież do „Nieboskiej komedii" i „Wesela". Niech teraz nie udaje że nie mógł.

No, wiec powiem od razu że nie mógł. Cudów nie ma. Młodzież śmiała sie na „Weselu" niekoniecznie tylko dlatego, że była źle wychowana (nie wierć się w krześle, bo trzeszczy, nie zajadaj cukierków, bo papierek szeleści), ale dlatego, że jest na „Wesele" nieprzemakalna. Nie rozumie rozstrzygającego o polskiej kulturze ożenku Lucjana Rydla z chłopką. Ani podstawowego problemu, jakim był stosunek „Nosa" do alkoholu. Szopena i sensu życia. Nie chce, no, nie może, po prostu nie może przejąć się niespełnionymi ciągotkami inteligentów krakowskiego chowu na przełomie wieków. Nie doznaje żadnych mistycznych dreszczyków podczas lektury „Dziadów" części drezdeńskiej nudzi się, nudzi śmiertelnie na „Akropolisie", męczy przy analizie stosunku poety do wschodu

Dokończenie na str. 2

Druga podróż do Azji

Młode kraje Azji uzyskujące niepodległość na gruzach kolonializmu nie były „z nami" w sensie ustrojowym, tzn. nie budowały socjalizmu pod przewodem partii klasy robotniczej. Były jednak „z nami" w walce z imperializmem. Na przystanku „antyimperializm" spotkały się w sposób naturalny drogi świata socjalistycznego z drogami krajów uzyskujących niepodległość na dwu wielkich kontynentach.

Bez pomocy polityki radzieckiej neutralizm w Azji i w Afryce nie mógłby rozwinąć skrzydeł. Poparcie dla ruchu narodowo-wyzwoleńczego, dla polityki neutralności stworzyło podstawy dla idei „Bandungu" — antyimperialistycznego porozumienia krajów Azji i Afryki. Neutralizm Indii, Indonezji czy Burmy wyłania się przecież w naturalny sposób z całokształtu sytuacji tych krajów. Potrzebują one maksymalnej pomocy ekonomicznej i to pomocy zarówno ze Wschodu jak i z Zachodu. W ten sposób przekreślone zostaje prawo imperialistycznego dyktatu i zachowana jest równowaga polityczna.

Współzawodnictwo dwóch systemów przejawiające się między innymi w udzielaniu pomocy krajom zacofanym stwarza dla nich jedyną chyba wielką szansę na szybki rozwój.

Rzecz nie kończy się tylko na ekonomicznej swobodzie ruchów. W ślad za nią idą możliwości zachowania pełnej suwerenności i autorytetu w dziedzinie politycznej. Warto chyba przypomnieć o tym że „szach" Związku Radzieckiego sparaliżował w 1956 roku interwencję mocarstw zachodnich w Suezie, w 1957 roku w Syrii, w 1958 roku w Libanie i w Iraku, w 1959 roku w Laosie.

Polityka Związku Radzieckiego akceptująca w pełni neutralność zdobyła dla Kraju Rad wielką sympatię w Azji i w Afryce. Trzeba pamiętać, że w zasadzie aż do swojej śmierci sekretarz stanu USA, Dulles, utrzymywał że polityka neutralności jest „niemoralna". Dulles, który przybył do Indii w 1956 roku, został powitany przez społeczeństwo w sposób zupełnie lodowaty. Pamiętam, że jedna z gazet amerykańskich zastanawiała się wówczas nad przyczynami tej oziębłości. Pisała między innymi, że to może dlatego, iż Dulles nie umie się uśmiechać i jest w ogóle sztywny. Jedna z gazet indyjskich odpowiedziała na to, że rzecz nie w cechach zewnętrznych mr Dullesa, ale w jego polityce. Gdyby Dulles przyjechał do Indii nie w sztywnym czarnym garniturze, ale w hinduskim stroju narodowym lub w spodenkach gimnastycznych i uśmiechał się przy tym od ucha do ucha, to przyjęcie byłoby równie lodowate. Dopiero podróż prezydenta Eisenhowera do Azji i Afryki zeszłego roku wyraziła przemiany jakie zaszły w amerykańskiej polityce w stosunku do krajów neutralnych. Nastąpiło to z 5-letnim opóźnieniem w stosunku do Związku Radzieckiego.

W międzyczasie zmieniło się w świecie wiele. Neutralne kraje Azji i Afryki otrzymały od Związku Radzieckiego i krajów socjalistycznych pomoc ekonomiczną w wysokości ponad 2 miliardów dolarów. Radzieckie posunięcia rozbrojeniowe zyskały sobie pełne poparcie w tej części świata. W całym zaś świecie rozum i realizm polityczny, zaczyna triumfować nad zimnowojennym zaciekrzewieniem.

Niezmordowany premier Chruszczow po wielkich wizytach w wielu krajach świata znów udał się do Azji. Stosunki dwóch krajów neutralnych Azji — Indii i Indonezji z Chińską Republiką Ludową są nienajlepsze. Jest to zresztą odrębne zagadnienie. Ale rzecz niezwykle charakterystyczna, że mimo napięcia między tymi dwoma krajami stosunki radziecko-indyjskie i radziecko-indonezyjskie nie poniosły żadnego uszczerbku.

Prasa zachodnia przywiązuje kolosalną wagę do podróży premiera Chruszczowa. „Time and Tide" tak nastraszył sam siebie, że kreśli następujący obraz skutków podróży radzieckiego premiera: **„Jeśli Związek Radziecki jeszcze bardziej zbliży się z Indonezją to Filipiny i Japonia zostaną oskrzydlone. Australię można będzie w przyszłości odciąć w każdej chwili. Wszystko to stanowi część ekspansji Rosji na południe na osi Moskwa — Sydney".** Opanowany i zarazem rozsądny jest głos brytyjskiego miesięcznika „Eastern World". **„Z radzeckiego punktu widzenia — stwierdza pismo — Indie i inne skłaniające się ku socjalizmowi kraje azjatyckie muszą być uważane za klucz w stosunkach międzynarodowych zarówno na bliższą jak i na dalszą metę. Według koncepcji amerykańskiej rejon ten jest areną, na której bloki państw walczą za pomocą współzawodnictwa w pomocy ekonomicznej o zdobycie krajów zacofanych dla swej ideologii. Tymczasem Rosjanie widzą tu możliwość wypróbowania nowych dróg przekształcania społecznego niekomunistycznego świata. Indie szukają na swój sposób pokojowej drogi do socjalizmu. Indonezja i Burma z nadzieją patrzą w pełną ryzyka przyszłość...**

Premier Chruszczow zakończył już wizytę w Indiach i w Burmie. Bawi teraz w Indonezji, a w powrotnej drodze do Związku Radzieckiego odwiedzi jeszcze Afganistan. Wspólne komunikaty indyjsko-radziecki i burmańsko-radziecki oraz niezwykle serdeczne powitanie, jakie ludność trzech krajów Azji zgotowała premierowi Chruszczowowi pozwalają już teraz na stwierdzenie, że podróż ta jest jeszcze jednym sukcesem premiera Chruszczowa i reprezentowanej przezeń polityki.

JACEK LEBEN

Nasza szkółka

Primadonna

Istnieje na świecie niejaka pani Callas znana Czytelnikom z licznych zdjęć i wzmianek w prasie. Jest ona największą śpiewaczką wszystkich kontynentów. Podobno oprócz niesłychanego głosu ma ona takiż temperament i jest najbardziej nieznośną spośród wszystkich nieznośnych primadonn, jakie zna historia. Kaprysy pani Callas, zrywanie kontraktów i inne skandale sprawiły, że ponoć z największą śpiewaczką świata nikt nie chce zawrzeć kontraktu i, jak się wyczytało w gazetach, w bieżącym roku w ogóle ona nie występuje.

W Łodzi mieszka pan H. Bogacki. Jak pewnie któryś Czytelnik się domyśli, nie jest on największą śpiewaczką wszechświata. Nie mniej łączy go z panią Callas pewne pobratymstwo.

A jak to było opowiem.

Pan Bogacki jest dyrektorem Zjednoczenia Przemysłu Lniarskiego. Zaś telewizja łódzka chciała przygotować audycję pt. „Len polski". Rzecz zawierać miała informacje o tym, jak się taki len robi i w ogóle jaka to dobra rzecz.

Pan Bogacki tedy uznał, że musi koniecznie w czasie tej audycji pokazać się przed kamerą i udzielić wywiadu. Telewizja przystała na to — powiedzmy — z radością. Pan Bogacki wszakże był zajęty. Ciągle zajęty. Audycja więc wciąż nie mogła się odbyć, bowiem dyrektor uznał, że nikt go przed kamerą nie może zastąpić. Nadto pan Bogacki zachowywał się jak nowobogacki. Zażądał bowiem bogatej oprawy, uparł się, że wraz z nim wystąpić muszą modelki. Próżno telewizja argumentowała, że akurat tym razem pragnie pokazać len, a nie nogi. Dyrektor się uparł i telewizja się ugięła. Niech będzie Bogacki otoczony ładnymi... taliami — pomyślała.

Wreszcie nadszedł czas audycji. Pan Bogacki spóźnił się, spóźniły się i modelki. Okazało się, że zamówił je na inną godzinę niż prosiła o to realizacja, żeby czasem ktoś nie pomyślał, że nie on tu rządzi. Owe modelki przyszły tak późno, że nie mogły już wystąpić. Nie pozały bowiem czasu, by odprasować i wdziać te lniane szatki. Zakomunikowano więc Bogackiemu, że audycja odbędzie się bez dam. Na to dictum dyrektor wstał, odszedł spod kamery i poszedł sobie do domu. Audycja się nie odbyła.

Przygotowanie audycji muszą Państwo wiedzieć, trwa bardzo długo i kosztuje bardzo dużo. Pracuje przy takim czymś cały sztab: kilkanaście do kilkudziesięciu osób. Trud tych ludzi i państwowa forsa poszły na marne. Tysiącom widzów sprawiono zawód.

Organizacja partyjna telewizji poinformowała o tym wypadku Komitet Łódzki partii. Było to bowiem wydarzenie bez precedensu. Przed telewizjami całego świata występują mężowie stanu i wszelkie znakomitości. Żadna z nich wszakże nie zdobyła się na tak wielkopański (lub wielko wprost przeciwnie) gest.

Komitet Łódzki zwrócił się do resortu. Pan Bogacki zawisnął na włosku. Niewiele brakowało, by przestał być dyrektorem w ogóle, a dyrektorem Zjednoczenia Przemysłu Lniarskiego w szczególności.

Tym „niewiele brakującym" była odrobina irytacji, której nadmiar okazała w studio telewizji primadonna od lnu. Kosa trafiła nie na kamień, lecz na ludzi wielkoduszny ch. Pan Bogacki zapłacił za swój arcywystęp najniższą cenę — złożył w telewizji samokrytykę.

Skandalik jak skandalik. Łódź się od niego nie zatrzęsła, telewizja nie zawaliła, jej widzowie przeboleli lukę w programie po ś. p. audycji o lnie. Słońce dalej jest na niebie, nawet w kosmosie nie zanotowano żadnych zaburzeń po „numerze" urządzonym przez dyrektora Bogackiego. Niektórzy Czytelnicy może się nawet zdziwią — ot, nerwy gościowi nie dopisały, dobrzy ludzie wziąwszy pod uwagę zasługi wymierzyli już karę, a tu Belfer wywleka rzecz na światło dzienne, rozrabia i czegoś jeszcze chce. A chce, chce na zaś, profilaktycznie.

Pan Bogacki zdobył się na swój gest nie dlatego, że jest panem Bogackim w ogóle, człowiekiem np. nerwowym, albo że jest szczególnie zapalonym miłośnikiem modelek. Nie. Pan Bogacki nonszalancko (o, jaki jestem delikatny!) wstał spod kamery telewizyjnej i zarwał audycję (i to jest w tym wszystkim najważniejsze — podkreślam na wypadek, gdyby ktoś chciał się wdawać w jakąś minutową kazuistykę) dlatego że jest dyrektorem. Eo ipso, cierpi na taką szczególną „dyrektorską chorobę". Głowę daję, że nie był to w jego karierze jedyny choroby tej objaw, tak jak jedynym objawem gruźlicy nie może być jedno tylko w życiu kaszlnięcie człowieka, który na nią zapadł.

Pewne kategorie czynów, gestów, słów, pewien sposób bycia, pewien szczególny stosunek do innych ludzi, ich pracy i spraw właściwy jest niektórym spośród tych właśnie osób, które dochrapały się biurka „na wysoki połysk", dwóch, trzech telefonów i sekretarki. I natychmiastowym tego faktu skutkiem staje się wszechogarniające ważniactwo, poczucie bycia ponad, powyżej, na innych prawach.

Są to i objawy i sprawy banalne, obrysowane i obśmiane. Natomiast mniej zazwyczaj dostrzegamy i mniej jesteśmy czuli na pewne źródła postaw a la Bogacki. Zaś podstawowe spośród nich ma na imię — tolerancja. Jest to potoczna tolerancja odgórna i oddolna.

Nie tylko podlegli Bogackiemu pracownicy nie reagują na takie jego pozy i odruchy, nie tylko jego przyjaciele, krewni i znajomi — nigdy mu nie powiedzą — opamiętaj się bądź co bądź nie jesteś carskim czynownikiem. Również przełożeni Bogackich, również organizacje partyjne poddają się nawykowo już wykształconemu obyczajowi, że dyrektorowi więcej wolno. Bo przecie to najczęściej drobiazgi, że jakoś inaczej on mówi do przełożonych niż do podwładnych, że jakoś inaczej załatwia on swoje sprawy, zachowuje się i porusza niż zwykli śmiertelnicy. Itp. I dopiero kiedy za tym pójdą sprawy poważniejsze...

Nie pierwszy raz piszę o niedorozwoju socjalistycznych form stosunków międzyludzkich w porównaniu z istotnym układem przeobrażeń ustrojowych. I nie pierwszy raz dzielę się z Czytelnikami mniemaniem, że owe drobne gesciki, niuanse, obyczaje — mają bardzo istotną antysocjalistyczną treść i wymowę. Że współtworzą klimat, ogólny klimat stosunków międzyludzkich wciąż nie bardzo jeszcze socjalistycznych. Wciąż taki, że szlag człowieka trafia.

Casus Bogacki dlatego właśnie wart jest opublikowania.

Bo tu nie chodzi o to tylko, by utrzeć nosa jednemu, który nazbyt go zadarł. I nie o to, żeby plejadzie tych, co zadzierają nosa, ciarki przeszły po grzbiecie. Chodzi również o to, aby walnąć w podstawy pewnego klimatu, w którym to mogło się zdarzyć, że pewien dyrektor od lnu wypiął się na telewizyjną kamerę i publiczność.

BELFER

CUDÓW NIE MA

Dokończenie ze strony 1

słońca, zachodu, burzy, puszczy, zwierząt i grzybów, nie przyjmuje świata pachnącego formaliną.

Przypomina mi się w tym miejscu słynna lekcja literatury ojczystej z „Ferdydurke" Gombrowicza. Pamiętacie nauczyciela?

„Zapamiętajcie to sobie, bo ważne! Dlaczego kochamy? Bo był wielkim poetą. Wielkim poetą był! Nieroby, nieuki, mówię wam przecież spokojnie, wbijcie to sobie dobrze do głowy — a więc jeszcze raz powtórzę... wielki poeta, kochamy Juliusza Słowackiego i zachwycamy się jego poezjami, gdyż był on wielkim poetą..."

Pamiętacie nieszczęsnego ucznia Gałkiewicza?

„Ale kiedy ja się wcale nie zachwycam! Wcale się nie zachwycam! Nie zajmuje mnie! Nie mogę wyczytać więcej jak dwie strofy, a i to mnie nie zajmuje. Boże, ratuj, jak to mnie zachwyca, kiedy mnie nie zachwyca?"

Pamiętacie nieszczęsnego nauczyciela?

„Jak to nie zachwyca Gałkiewicza jeśli tysiąc razy tłumaczyłem Gałkiewiczowi że go zachwyca".

Na to nieszczęsny Gałkiewicz:

„Ale, słowo honoru, nikogo nie zachwyca. Jak może zachwycać, jeśli nikt nie czyta oprócz nas, którzy jesteśmy w wieku szkolnym, i to tylko dlatego, że nas zmuszają siłą..."

Myślę, że poprzez przypomnienie tej właśnie lekcji zbliżamy się do sedna sprawy. Istota zagadnienia tkwi bowiem nie w tym, że młodzież śmieje się w innym miejscu, niż przewiduje podręcznik, albo odpowiednie zarządzenie władz oświatowych, lecz w różnicy odczuwania sztuki, powieści czy poematu. Ale to nie jest tylko różnica pokoleń, lecz przede wszystkim czasu historycznego, czasu, który mija niepostrzeżenie, rodzi nowe potrzeby, odkłada do muzeum twarze z dawnych epok, kostiumy dawnych epok, pasie. Mickiewicz wierzył w siłę ducha ogromnego, a Prus w naukę.

Czy można zamarynować czas historyczny, przywrócić woskowym postaciom rumieńce życia? Czy może humanistyka zatrzymać się na Krasińskim, Sienkiewiczu, czy Matejce, kiedy technika sięga Księżyca? To właśnie ta licealna młodzież powiada, że nie może. Opowiadano mi o uczennicy, którą ukarano za to, że nie dosłedziała końca „Nieboskiej". I o „Akropolisie" wyrażała się źle. A zachowywać się umie. Absolutnie nie śmieci, nie szeleści, nie skrzypi i uczy się dobrze. Tylko akropolisowego bełkotu zrozumieć nie może. Stawiać ją za to do kąta?

Rozmaite co do swoich przejawów protesty pokoleń, mają dobrą renomę w naszej literaturze Protestował przeciwko stagnacji światopoglądowej Borowicz, Teofil Grodzicki wygłosił całe przemówienie wobec władz szkolnych, tak bardzo już dość miał banałów branych wprost z powietrza, liturgicznych zdań na temat wielkich dlatego, że wielkich, tak mu dokuczyło nieustanne odprawianie narodowych zaduszek w nauczaniu literatury, w całym systemie wychowawczym.

Ten protest trwa po dzień dzisiejszy. Może jest wieczny? Nie wiem. Wiem natomiast, że winić nauczycieli doprawdy nie można. Mamy dobrych nauczycieli, którzy wydoskonalili to, co można by nazwać chwytami czy technika pedagogiczną. Ale to nie rozstrzyga jeszcze o systemie wychowawczym. On jest po prostu anachroniczny: zakłada właśnie, że technika może sobie podziwiać bezpośrednio Wenus, a wiedza o kulturze kończy się i tak na 1918 roku, albowiem Polacy mieli literaturę głównie w okresie niewoli, lata międzywojenne i powojenne warte są co najwyżej kilku lekcji.

W tych warunkach protest musi trwać. Nie wiem, czy jest gdzie taki kraj jak nasz. Mam za sobą wystarczającą ilość spotkań z nauczycielami i licealistami, aby — w miarę możności spokojnie — unaocznić ów wielki nonsens. Młodzież bardziej interesuje Hłasko niż Mickiewicz. I to nie ze względu na cechy osobowe Hłaski, że pije, uciekł przystojny jest i kliknie. Chodzi jej o zrozumienie zjawisk współczesności. Co to jest „czarna" literatura i z jakiej gleby wyrasta, jakie są tendencje w **dzisiejszej literaturze**, czy **współczesna** literatura amerykańska jest ciekawsza od francuskiej, czy Sartre jest **dziś** egzystencjalistą i co to jest egzystencjalizm, bo pani nie mówiła, jakie są obecnie perspektywy realizmu socjalistycznego, czy abstrakcyjna sztuka może mieć praktyczne zastosowanie w **naszym życiu**, co to jest **nowoczesność**, na czym polegają różnice między tradycyjnym pisarstwem a nowoczesnym — o to pyta dziś młodzież. A o Krasińskiego i Wyspiańskiego nie pyta. Jaką otrzymuje odpowiedź w szkole? Poczytaj sobie, Gałkiewicz, nadobowiązkowo, „Genezis ducha," poznasz tytana.

Proszę mnie dobrze rozumieć. Szanuję tradycję jak należy. Pamiętam, że wydaliśmy Kopernika, Kościuszkę, Szopena i Jarosława Marka Rymkiewicza. Wiem, wiem — na koniach jeździliśmy do Moskwy i do Madrytu, zdobywaliśmy wawozy i góry, których nikt zdobyć nie potrafił. Tylko że młode pokolenie, tych właśnie licealistów, mniej to obchodzi. Oni chcą znać smaki, idee, poszukiwania i rozterki epoki, w której żyją. **Chcą współczesności.**

Prawie trzy lata dłubać w przeszłości, a przez kilka lekcji „poznać" ostatnie czterdzieści lat kultury polskiej — oto nasz arcynarodowy anachronizm! I nic tu nie pomoże nawet idealnie marksistowski system interpretacyjny, jeśli będzie tylko szufladkował przeszłość, balsamował wartości cenne oczywiście, ale nie mające już tej siły wychowawczej, jaką niesie ze sobą dzień dzisiejszy i przyszły. Ja wiem, wszystkiego do programu nauczania nie wpakujesz. Trzeba wybierać pomiędzy marzeniami romantyków o rzadach ducha i marzeniami uczonego o poznaniu materialnego przecież kosmosu. Osobiście, wybrałbym to drugie.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Beret? Po maturze będzie już nie potrzebny. Zastąpi go kapelusik.
A teraz? Trzeba go przeciąć i przeszyć zieloną nicią. Symbol nadziei przed maturą.

Straż? Porządkowi? Nie. To zapobiegliwe mamy, które najwięcej harują przy studniówkach i ojcowie — z zadowoleniem przyglądają się pląsom swych dorastających pociech.

Gaudeamus igitur... Matury matury, jak trudno wspinać się po nie do góry.

Gaudeamus?—Owszem

ale najpierw matura

Skąd pochodzi tradycja studniówek i z jakiego okresu — tego nie powie wam żaden traktat naukowy ani nawet encyklopedia. Wprawdzie w słowniku języka polskiego można dowiedzieć się o znaczeniu hasła „stodniowy" ale nie ma tam nic o przedmaturalnych balach karnawałowych. Bo te studniówki wypadają przypadkowo w samym karnawale.

Aby odróżnić się od innej braci uczniowskiej przecina się berety, czapki uczniowskie i zaszywa przecięcie kolorowymi nićmi. Haftuje się kołnierzyki, rękawy, te same czapki i berety hasłami, magicznymi liczbami i figurami.

A nade wszystko w studniówkowej piosence, w formie żartobliwej wyszydza młodzież słabe strony kochanych profesorów.

Ale niestety, studniówka nie jest zabawą trwającą przez sto dni.

Ha. Mówi się trudno. Wielka szkoda, bo można by zapomnieć o wielkim strachu przed nadchodzącą maturą. Teraz czeka naszych maturzystów wielki post, którego symbolem będzie nie tylko śledź, ale przede wszystkim rzetelna praca. Starym zwyczajem życzymy — połamcie ręce i nogi!

Tekst i zdjęcia: E. Kudaj

Tak! Tak! Tym razem można z dyrektorem iść pod rękę do stołu biesiadnego.
Okazuje się, że On wcale nie taki groźny.

Dziś myśleć o nauce?! Po co! Na to jest jeszcze całe sto dni.

Dziś, koledzy, spełnijmy toast za pomyślność. Ale w czasie egzaminu trzymajcie palec w kałamarzu. To podobno pomaga.

Kasztany jeszcze nie kwitną — a jak już zakwitną, na naukę będzie za późno.

KANDYDACI DO BIAŁEGO DOMU

LONGIN PASTUSIAK

— Panie Senatorze, czy uważa Pan, że odrzucenie przez Stany Zjednoczone Planu Rapackiego było słuszne?

— Cieszę się, że pan wspomniał o tym zagadnieniu. Rozbrojenie jest dziś jednym z czołowych problemów międzynarodowych. Jako przewodniczący podkomisji rozbrojeniowej w Senacie uważam plan polskiego ministra spraw zagranicznych za interesujący. Winę za odrzucenie planu ponosi administracja partii republikańskiej. Wydaje mi się, że nasz rząd odrzucił Plan Rapackiego zbyt pochopnie nie wchodząc w jego istotę. Kontrola zbrojeń atomowych w Europie może być ważnym krokiem wiodącym do dalszych decyzji.

Moim rozmówcą jest senator Hubert Humphrey, który niedawno oficjalnie oświadczył, że będzie ubiegał się o uzyskanie nominacji kandydata na prezydenta USA z ramienia partii demokratycznej.

Humbert H. Humphrey jest senatorem partii demokratycznej ze stanu Minnesota. Wśród kolegów parlamentarzystów Humphrey znany jest ze swojej aktywności. Rozbrojenie, kryzys w rolnictwie amerykańskim, 8-godzinna rozmowa z Chruszczowem czy „wypad" na zjazd farmerów w Jowa — senator Humphrey znajdzie czas na wszystko. Przemawia chętnie i często. Jest jednym z najwybitniejszych mówców w Senacie USA. Słuchałem Humphrey'a z wielką przyjemnością. Dowcip i ironia towarzyszą jego krytyce. Płynność jego wymowy utrzymuje słuchaczy w ciągłym napięciu.

Humphrey jest pupilkiem amerykańskich liberałów. W latach trzydziestych był on zwolennikiem polityki „Nowego Ładu" prezydenta Roosevelta, który wprowadził szereg ograniczeń, próbując w ten sposób ograniczyć samowolę wielkiego kapitału. Do dziś dnia młody senator Minnesoty uważany jest za jednego z niewielu wiernych wyznawców polityki „Nowego Ładu" z lat 1930.

Humphrey jest profesorem nauk politycznych, a nim zajął się „politykowaniem" dorabiał sobie pracą dziennikarską. Humphrey jest rzecznikiem bardziej realistycznej polityki USA w stosunku do Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Uważa, że negocjacje i rozmowy dyplomatyczne są zawsze lepsze od pogróżek i zimnej wojny. Dlatego też jego stosunek do Organizacji Narodów Zjednoczonych jest inny niż np. amerykańskich izolacjonistów, którzy domagają się nie tylko wystąpienia Stanów Zjednoczonych z ONZ, ale „wysiedlenia" ONZ z ziemi amerykańskiej.

Kim jest Humphrey? Kto za nim stoi, albo lepiej, kto za nim nie stoi? Nie popiera go wielki kapitał, Humphrey uważany jest za zwolennika większej ingerencji państwa w życiu gospodarczym. Jego nazwisko wywołuje błysk złości w oczach konserwatywnych i rasistowskich południowców. Południowe stany USA są tradycyjnie związane z partią demokratyczną. Kiedy senator Humphrey zgłosił swoją gotowość kandydowania na prezydenta z ramienia partii demokratycznej kilku polityków amerykańskiego Południa (tzw. Dixiland — nie mylić ze stylem jazzowym) oświadczyło, że zbojkotuje konwencję wyborczą, co grozi rozłamem w partii.

Spośród polityków, którzy ubiegają się o uzyskanie nominacji kandydata partii demokratycznej najmniej znanym w Stanach i poza Stanami jest Stuart Symington, senator ze stanu Missouri. Może on odegrać poważną rolę jako tzw. „kandydat w rezerwie". Gdy delegaci na zgromadzeniu partyjnym nie dojdą do porozumienia w sprawie wyboru jednego kandydata, dokonują tzw. „second choice" czyli głosują na tzw. rezerwowego kandydata.

Jak wykazały badania i wywiady wpływowego tygodnika „US News and Rold Report" 24 stany popierają Symingtona jako kandydata rezerwowego podczas gdy Kennedy np. popierany jest w tej sytuacji przez 18 stanów, a Humphrey przez 9 stanów.

Symington nie ma „łatek" politycznych. Nie jest 200-procentowym liberałem jak Humphrey, nie przegrał dotąd żadnych wyborów.

Symington jest w sile wieku (58 lat) pochodzi z biedniejszej rodziny. W młodości grał pasjami w tenisa, golfa a obecnie w bridża. W czasie studiów miał dość chyba poważne trudności w nauce, w każdym razie Uniwersytet Yale nie przyznał mu dyplomu w 1923 r., kiedy Symington opuścił uczelnię. 22 lata później ten sam uniwersytet z własnej inicjatywy zaproponował sławnemu już absolwentowi przyznanie stopnia naukowego.

Symington rekrutuje swoich zwolenników ze środowiska wiejskiego. Nic więc dziwnego, że atakuje zaciekle obecnego ministra rolnictwa USA, Ezra T. Bensona. „Nie wiem kogo on właściwie reprezentuje — mówi Symington o Bensonie — ale wiem na pewno, że nie reprezentuje on interesów farmerów".

W przeciwieństwie do swoich rywali politycznych Kennedy'ego, Humphrey'a i innych Symington ma pewne doświadczenie w pracy rządowej. W 1947 r. jego kolega, również ze stanu Missouri, prezydent Truman mianował Symingtona ministrem wojny powietrznej. Od tego czasu Symington uważany jest za eksperta w dziedzinie broni najnowszego typu. Senator Symington korzysta z tego często i nie pominie okazji by nie zaatakować rządu Eisenhowera o zaniedbania w produkcji broni rakietowej i dzielenia kredytu Polsce przystąpili do ofensywy, Kennedy był jednym z tych, którzy zaciekle walczyli, naturalnie mając na uwadze swój interes, o utrzymanie dobrych stosunków ekonomicznych między Polską i USA. Przeciętny Polak w Stanach popiera z tych względów Kennedy,ego. Kennedy jako katolik zyskuje także poparcie części katolików, ale z tego samego tytułu ma również przeciwników.

Nigdy dotąd w historii USA katolik nie został wybrany prezydentem. Raz tylko zdarzyło się to w 1928 r. że Al. Smith — katolik kandydował z ramienia partii demokratycznej i.. przegrał wybory. Do dziś historycy twierdzą, że głównie przynależność religijna zgubiła Smitha. W USA uważa się, że gdyby katolik został wybrany prezydentem uzależniłby on państwo od Watykanu i naruszyłby tym samym konstytucyjnie zagwarantowany rozdział państwa od kościoła.

W ciągu ostatnich lat Kennedy włożył dużo wysiłku w opracowanie ustawy regulującej stosunki w związkach zawodowych. Związki zawodowe byłyby skłonne do poparcia kandydatury Kennedy'ego. Jest to dosyć istotne, gdyż w praktyce oznacza pewne dotacje pieniężne na kampanię wyborczą.

W partii republikańskiej sytuacja jest prosta chociaż byłaby jeszcze jaśniejsza gdyby nie... konstytucja. Prezydent Eisenhower zyskał już wystarczającą popularność, by po raz trzeci uzyskać nominację (poprzednie uzyskał w 1952 i w 1956 r.) na kandydata partii republikańskiej. Niestety XXII poprawka do konstytucji USA, która weszła w życie w 1951 r. zabrania ubiegania się po raz trzeci o urząd prezydenta. W tej sytuacji jedynym (szczególnie po wycofaniu się Rockefellera) kandydatem republikanów wydaje się być obecny wiceprezydent USA Richard Nixon.

Jeszcze jako senator, a później jako wiceprezydent Nixon znany był społeczeństwu USA i poza USA ze swej bardzo konserwatywnej polityki. Ogólnie uważa się tu że nabyte doświadczenie, oraz rozwój stosunków międzynarodowych w kierunku odprężenia nauczyły Nixona realizmu politycznego. Ale ta właśnie zmiana nastawienia stała się powodem, zresztą chyba niesłusznie, szeregu zjadliwych uwag. Wielu z moich znajomych (konserwatywnych) nie lubi go za odstępstwo od linii partii republikańskiej, inni (bardziej liberalni) nie dowierzają mu i posądzają Nixona o „politycal game" — o grę polityczną, której celem ma być pozyskanie większej ilości głosów.

Pewne jest wszakże jedno — poglądy Nixona uległy znacznej ewolucji. Nixon z 1952 r. różni się od Nixona z 1960 r. Szczególnie wizyty w Związku Radzieckim i Polsce dały Nixonowi okazję do zademonstrowania swojego talentu w polityce zagranicznej. Do dziś zwolennicy Nixona przypominają tu jego serdeczne przyjęcie w Warszawie.

Gdy przeglądam prasę amerykańską zauważam, że często się tu pisze o stosunku związków zawodowych do Nixona. Prasa republikańskiej orientacji bardzo reklamuje rolę wiceprezydenta w zakończeniu strajku w przemyśle stalowym. To może znacznie poprawić stosunki Nixona z potężnym AFL—CIO (amerykańskie związki zawodowe), które dalekie były od serdeczności.

Sytuacja przedwyborcza nie jest jeszcze jasna. Miliony ludzi codziennie zadają sobie pytanie: kto otrzyma nominację? Przecież losy stosunków międzynarodowych zależą w dużym stopniu od osoby prezydenta USA.

Kennedy podobno jest najprzystojniejszy spośród wszystkich kandydatów. Oceńcie to sami.

Symington (na prawo) jest popierany przez swojego kolegę ze Stanu Missouri, byłego prezydenta USA, Trumana (na lewo).

O tej parze mówi się często w USA. Richard Nixon (na prawo) jako kandydat republikanów na prezydenta i Charlie Halleck (na lewo) jako kandydat na wiceprezydenta

J.W.P... Busiakiewicz

Są wśród słuchaczy radia miłośnicy koncertów życzeń. Ale znajdują się i tacy, którzy nie mogą bez zdenerwowania wysłuchiwać długich litanii nazwisk i dedykacji. Jednym i drugim podajemy do wiadomości, że ten typ audycji słowno - muzycznej wprowadził lub zawinił w Polsce Bolesław Busiakiewicz. Pierwszy koncert życzeń usłyszeliśmy w roku 1928 z Poznania.

Trzeba powiedzieć, że były to lata, kiedy w radiofonii stawialiśmy dopiero pierwsze kroki. Busiakiewicz pracował wówczas w rozgłośni poznańskiej, a potem toruńskiej. Między innymi był także jakiś czas spikerem radiowym. Ale tu znowu drobna, lecz zasadnicza uwaga: dawniej na spikera powiadano „Pan Spiker". Zakres władzy ówczesnego spikera był szerszy niż dzisiaj.

ŁODZIANIE 1960

Spiker był p.o. dyrektora rozgłośni. Czyżby zatem należało mówić o dewaluacji tego zawodu? Chyba nie. Dla porównania: na najstarszych afiszach teatralnych przed nazwiskami aktorów umieszczano litery JWP. Tak tytułowano tylko „wielmożów". Nie oznacza to przecież, że dzisiaj nie potrafimy ocenić aktora i jego pracy. Podobnie zachodzi sprawa i z „Panem Spikerem".

Busiakiewicz ma za sobą 33 lata pracy radiowej i 43 lata pracy publicystycznej. Jako dziennikarz jest zweryfikowany od 1917 roku. W 1927 redagował w Poznaniu „Tydzień radiowy". Oprócz „Tygodnia" wychodziły u nas takie pisma jak „Ra" (Warszawa od 1926), „Radio — Amator" (także Warszawa), „Ilustrowany Kurier Radiowy" (Kraków) i inne. Busiakiewicz przez 30 lat był kierowikiem Agencji Koncertowej. Dało mu to okazję do zetknięcia się z wieloma wybitnymi śpiewakami, muzykami i prelegentami. M. in. kilkakrotnie organizował występy Ady Sari. Kontaktował się z Boyem Żeleńskim. Pierwszy wprowadził na estradę odczytową Magdalenę Samozwaniec.

„Urodziłem się dla radia" —powiada o sobie Busiakiewicz. Był jakiś czas „belfrem", polonistą, ale „obrzydły mu poprawiania zeszytów". Z jego działalności radiowej trzeba wymienić przede wszystkim cykle popularyzatorskie muzyki: „Białe kruki", „Czarne łabędzie", „Abecadło muzyczne". Bez przerwy od piętnastu lat redaguje „Zagadki muzyczne". Stromengera uważa za najlepszego wśród wszystkich popularyzatorów muzyki w Polsce. „Muzyka dzieli się nie na poważną i lekką, lecz na dobrą i złą" — powiada. Od trzydziestu lat propaguje tę tezę.

Z okazji swojego jubileuszu, który obchodził w 1953 roku otrzymał od Prezydium Rady Narodowej mieszkanie. Na biurku stoi duży portret Busiakiewicza pędzla Mackiewicza. To znowu dar od Wydziału Kultury. „W tym pokoju się pracuje, w tym się przyjmuje albo nie, w tym się śpi i grzeszy". We wszystkich pokojach książki. I w tym co się „śpi", i w tym co się „przyjmuje". „Wydaje się, że urodziłem się z manią zbierania. Poza książkami moją pasją są płyty. Chociaż je „chomikuję" — są znane. Przy każdej zagadce korzystam ze swoich płyt". „Jeszcze o pasjach życiowych? Poza manią zbieractwa mam zboczenie pisania wierszy. Ale to na marginesie". Nie wypada mówić: całe szczęście. Można się pomylić. Tym bardziej że wino przyprawione plasterkiem cytryny — „sama poezja".

Busiakiewicza można nazwać „stuprocentowym" łodzianinem. Urodził się na ulicy Głównej pod numerem 28, anno domini... Jest poza tym łódzkim „patriotą". Oczywiście, nie chodzi tylko o to, że jego działalność popularyzatorska zwrócona jest przede wszystkim do ludzi pracy, do „włókniarzy", jak się zwykło uogólniać. Głos Busiakiewicza jest bardzo popularny w eterze. Ale Busiakiewicz ma wiele pomysłów jeśli chodzi o miasto. „Dojdzie do tego — powiada — że Łódź będzie rywalizować z każdym miastem". Busiakiewicz marzy •

(Dalszy ciąg na str. 11)

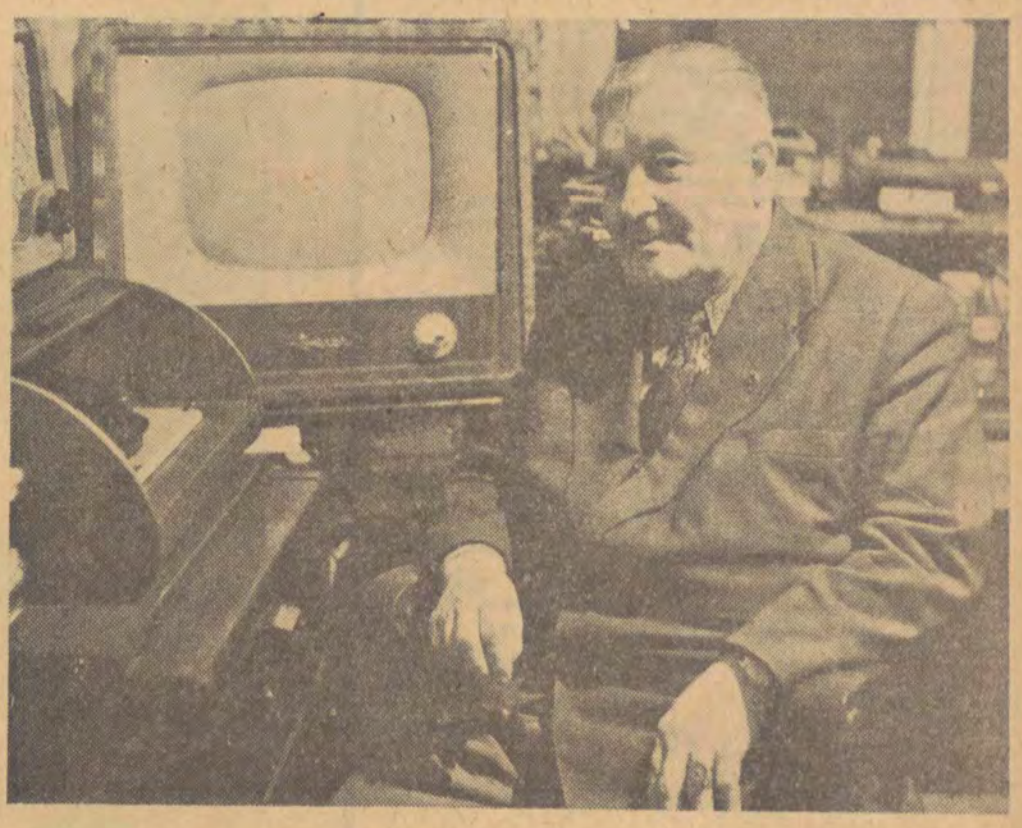

TEGO NIE WYMYŚLIŁABY NAWET AGATA CHRISTIE

AFERA JACCOUD

Zły duch opętał bogobojnych łyków genewskich. Stara stolica purytanów zatrzęsła się od zgrozy. Komu to można wierzyć, jeżeli najstateczniejsi ze statecznych, czcigodni patrycjusze, ojcowie miasta kalają ręce zbrodnią?

Nie przebrzmiały jeszcze plotki o tajemniczym i potwornym dzieciobójstwie w domu słynnego naukowca, gdy nowy proces wzburzył solidnych Szwajcarów. Oskarżono o mord jednego z najbardziej szanowanych obywateli.

Wyrok ogłoszono niedawno, przed dwoma tygodniami ale sprawa ciągnęła się długo — od pierwszego maja 1958 roku.

Tego dnia zebranie kółka charytatywnego przy parafii w Planles-Ouates — małej wiosce położonej o 10 km od Genewy — przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych. Wracając do domu około pół do jedenastej, pani Zumbach, właścicielka niewielkiej, ustronnej willi, natknęła się na schodach na jakiegoś, nierozpoznanego po ciemku osobnika który wybiegając z domu strzelił do niej z pistoletu, wskoczył na rower i szybko odjechał. Raniona lekko w ramię staruszka zdążyła tylko zauważyć, że latarka od roweru co chwila przygasała, widocznie uszkodzone było dynamo.

Z trudem przebrnęła przez próg. Za drzwiami, w kałuży krwi, leżały zwłoki jej męża, Karola Zumbacha, siedemdziesięcioczteroletniego eks-handlowca, człowieka cieszącego się ogólną sympatią i nieposzlakowaną opinią. Gdy padał trafiony czterema kulami Zumbach już nie żył, ale morderca — szaleniec jakiś — pastwił się wyraźnie nad ciałem, żgając je kilkakrotnie nożem.

Policja przesłuchała z negatywnym skutkiem kilku włóczęgów. Wówczas syn zamordowanego, Andrzej Zumbach, pracownik genewskiego radia napomknął sędziemu śledczemu, że podejrzewa dawnego kochanka swej narzeczonej, Piotra Jaccoud, który w dniu morderstwa dwukrotnie upewniał się telefonicznie, czy aby Andrzej przebywa w radiostacji.

Pomysł wydawał się idiotyczny. Piotr Jaccoud znakomity prawnik, prezes izby adwokackiej, radca prawny I. G. Farben i członek zarządu wielu koncernów przemysłowych, deputowany do Zgromadzenia Narodowego, były przewodniczący Stronnictwa Radykałów, przewidziany na stanowisko ministra sprawiedliwości, słynny obrońca słynnej orkiestry Suisse Romande, pełnomocnik Ali Khana Rity Hayworth, Sachy Guitry i wielu innych osobistości o sławie światowej gentleman w każdym calu nie mógł popełnić pospolitej zbrodni. Nie wypadało go nawet przesłuchać.

Niby to przypadkiem, korzystając ze spotkania i sumitując się gorliwie, sędzia zadał mu kilka pytań

Owszem, mecenas znał pannę Lindę Baud, zwaną „Laleczką" — no zwykła, krótkotrwała awanturka. Owszem, kupił kiedyś pistolet, ale pod wpływem zdenerwowania wrzucił go do Rodanu. Uwagę, że w dłoniach ofiary znaleziono pęk czarnych włosów adwokat puścił mimo uszu.

Ale w miesiąc później wrócił z kongresu prawniczego w Sztokholmie przefarbowany na blondyna. Fryzjer pomylił się, oświadczył kolegom. Przebadany przez policję fryzjer stwierdził, że takie właśnie było żądanie klienta.

To wydało się policji zbyt głupie, ale zaniepokoiła się na serio, kiedy po kilku dniach Jaccoud targnął się na życie, wypijając dawkę trucizny. Uratowano go i teraz rozpoczęło się śledztwo.

Dbały o konwenanse wytworny i szarmancki adwokat miał wielkie powodzenie u kobiet Żonę, swoją wielką miłość lat młodzieńczych i była sekretarkę, zaniedbywał od dawna, dopiero w ostatnich tygodniach przed sprawą próbował się z nią pogodzić. Dumny był za to z dzieci — syna obiecującego prawnika i dwóch dorastających córek. Brzelotna awanturka z „Laleczką" trwała siedem lat. Jaccoud był piekielnie zazdrosny, potrafił wykupywać po trzy rzędy w teatrze, by nikt mu nie zakłócał „sam-na-sam". Kiedy przed trzema laty Linda zerwała z nim i zaręczyła się z Andrzejem, swoim kolegą biurowym, Jaccoud przyjął to pozornie spokojnie, ale szukał sposobów odzyskania dziewczyny. Między innymi wysłał do Andrzeja kilka listów anonimowych i odpowiednio spreparowane fotografie, by skompromitować ją w oczach młodzieńca.

Dopiero później spostrzegł że skompromitował się sam. I oto znalazły się motywy ewentualnej zbrodni: zazdrość i szantaż. Oczywiście Zumbachowie nie próbowali szantażu, byli na to zbyt uczciwi, ale Jaccoud, działacz polityczny żył odtąd w wiecznym strachu. Za wszelką cenę chciał odebrać listy.

W czasie wizji lokalnej pani Zumbach poznała sylwetkę na pastnika dopiero w czwartym przedstawionym jej mężczyźnie. Był to właśnie Jaccoud. Adwokata aresztowano.

Wypierał się winy do końca. Broniło go całe grono znakomitych kolegów Ale znalazły się dalsze poszlaki. Cały diabelski splot.

Na polecenie męża pani Jaccoud przekazała na Czerwony Krzyż płaszcz gabardinowy z urwanym guzikiem i śladami jakby rdzy. Okazało się, że była to krew. Taki sam guzik i strzępek podobnej nitki znaleziono obok ciała ofiary. Płaszcz był co prawda, konfekcyjny, wiele osób w Genewie nosiło takie same. A pan Jaccoud twierdził, że skaleczył się w dłoń i stąd pochodziła krew

W szopie przy willi adwokata znaleziono rower z identycznymi śladami krwi oraz latarką której dynamo było uszkodzone. Oczywiście, dowód był słaby iluż to osobom zacina się latarka przy rowerze. A ślady krwi już adwokat wyjaśnił.

W schowku bibliotecznym odkryto zatknięty sztylet marokański ze śladami krwi i wnętrzności ludzkich. Tym właśnie sztyletem skaleczył się w dłoń pan Jaccoud. Skąd się wzięły ślady wnętrzności nie mógł zrozumieć.

Badanie morfologiczne wykazało, że krew na płaszczu na sztylecie i na ramie roweru należała do grupy „O". Ta sama grupę krwi miał zamordowany Karol Zumbach. Ale te sama grupę miał również Jaccoud. Nic więc z tego nie wynikało.

Do splotu okoliczności obciążających dołączyła się zagadka. Dlaczego człowiek o takiej inteligencji, tak wybitny kryminolog, mając masę czasu, nie usunął niebezpiecznych śladów? Jakaś demencja umysłu, nerwy? Czy absolutne poczucie bezpieczeństwa?

Ale dlaczego w takim razie przefarbował włosy?

A może zdarzył się tu wypadek iście powieściowego rozdwojenia jaźni. Nowy dr Jekyll i mr Hyde. W dzień szacowny adwokat, człowiek nieskazitelnych obyczajów, w nocy brutalna bestia rozjeżdżająca na rowerze po wiejskich drogach i mordująca spokojnych obywateli. Psychiatrzy stwierdzili jednak, że pan Jaccoud jest — chociaż zdradza krańcowe wyczerpanie nerwowe — człowiekiem całkowicie zdrowym na umyśle. A przy tym nie wykryto innych napadów

Pani Jaccoud stwarzała mężowi niemal doskonałe alibi. Zeznała, że w dzień wypadku adwokat bawił w domu już po godzinie dziesiątej wieczór. Zeznanie to potraktowano jako pobożne kłamstwo, usprawiedliwione w ustach wiernej małżonki dbałej o reputację rodziny.

Jaccoud stracił bowiem sympatię publiczności, a co za tym idzie, grona sędziów przysięgłych. Rzekomy światowiec okazał się niezbyt przebiegłym kłamcą i brudnym intrygantem. Opinii tej nie poprawiły nawet przychylne zeznania panny Lindy Baud, która — skarżąc się na objawy zazdrości dawnego kochanka — przyznawała mu mnóstwo zalet i starała się go nie obciążać.

Również Andrzej Zumbach, podtrzymując zeznania o anonimach — które powinien był spalić ale które „na szczęście" zachował — nie starał się zgnębić dawnego rywala. Przyznał tylko, że zawsze się go obawiał.

Jaccoud milczał. Pani Jaccoud nadal broniła męża.

Sąd przysięgłych złożony z dziewięciu mężczyzn i pięciu kobiet uznał, że poszlaki nagromadzone w takiej ilości stanowią dowód wystarczający. Przyjął jednak okoliczności łagodzące: szczególną depresję psychiczną oskarżonego w momencie popełnienia zbrodni. Depresję uzasadnioną obawą osobistego zagrożenia. Być może zaważyło tu owe „na szczęście" w ustach Andrzeja Zumbacha.

Prawo szwajcarskie nie zna kary śmierci, Jaccoud skazany został na siedem lat więzienia bez możliwości apelacji.

Opracował
H. O.

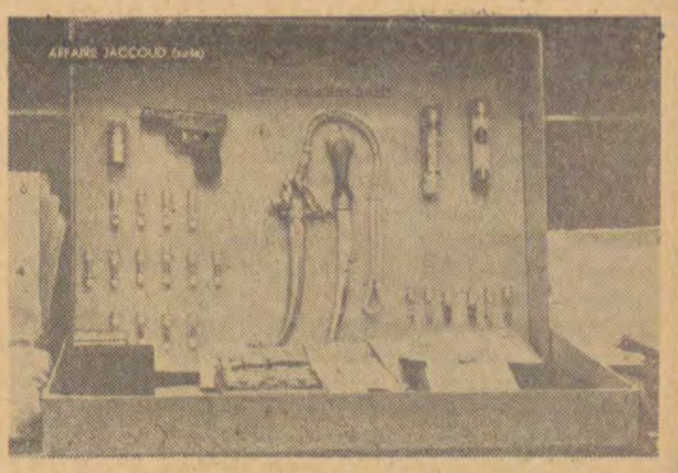

JERZY WALENCZYK

ELEGIE

Elegia sławy

Stanęli i czekają. Piąta o poranku.
Jurek gładki, taksówka 356
Przywiózł nas i zatoczył. Tłum się czerni, kruszy,
Daj wejść im do tramwaju. Wstań, podąż za nimi,
Zobacz różnicę w trybie twoich godzin, nazwij
To, jeśli masz nazwę. Możesz nie nazywać.
Wiedz, zapatrzony, zziębnięty. Owoc ziemi.
Murka mnie przepraszała za 500 złotych,
Pił z nami prokurator, dzielnica Nieznana.
Równy facet, synteza ciekawych poglądów.
Najokrutniejsza pora. Zna mnie, zwodzi.
Wietrzna, nie dziwi się, lecz uczy jak wejść
Do mieszkania, być dobrym i zwodzić samemu,
Szemrać wśród wieszaków, szukać i wypełniać.
Iść nieudolnym krokiem, pić, pić
Zimną wodę chroboczących rur, spożywać
Pigułkę godziny szóstej, żyletką przeciąć
Pępowinę nocy, zabić salicylem
Te mnożne uściski niejasnych przeznaczeń.
To szlaban dnia otwarty. Może nas uzdrowi
Idący i biorący co jemu należy. Wstąpić tu i tam,
Wrzucić bilet do kosza, poruszyć problemy,
Zostać jeszcze na chwilę, mieć odwagę zostać,
Rzec coś o chorobie, o poznaniu, zobaczyć
Zstępujących skojarzeń chóry tak gwałtowne,
Że dziwią miast radować. Stój i słuchaj.
Daj im nazwę i zaświadcz, widziałeś, słyszałeś
I nic nie zmieniaj. Widzieli, słyszeli.
To kiełkuje zbawienie.
Tam sucha gałąź
Ginie i wierzy. Być, być, jak wysokie drzewa,
Bóstwa, półbogi słowiańskie, otoczone trwogą.

Elegia rozłargnienia

Nocą ponury kanał szepcze kwasy żrące
Z farbiarń mrocznych, oślizgłych. I dekiel żelazny
Dymi mgłą zamyśloną obumarłych świtów.
Grzeję ręce, wyciągam i ciepło mnie dławi,
Parzy, kosmate, trze się, bandażuje.
W lamentującym styczniu, w dramacie natury,
W iluzji oprawnej w szkliste propozycje
Przyszedł Hamlet i stanął. Namiętność i trwoga.
Pamięć bez dotyku, koniec bez odjazdu,
Błąd bez ambicji, szansa bez cierpliwości.
Dotyk jest złudzeniem, namiętność złudzeniem.
Ja, wdowiec pustych ulic. Kilka słów sierocych,
Opuszczonych porównań tej syntaksy w czerni,
Jak te piętnastoletnie w żałobnych pończochach,
Bez pogrzebu, bez troski. Ciągle są obecne,
Nieustannie spekulują, aby mnie odnaleźć.
I wołają z ukrycia, krzyżują mi plany,
Kryją się za biszkoptem, głowę mi rozbiły
Łyżeczką z aluminium, wylizały pudding.
Przy kiosku z gazetami żyłem i zginąłem,
Walczyłem brnąc przez farbę, przycupnąłem w rogu,
To techniczny mnie złamał na czwartej kolumnie.
Czekam na znak
Z bramy sennej, zapędzony wzgardą,
Rozszczepiony na bohaterstwo i ostrożność,
Trawiący gorzki tytoń roztargnienia.

Powrót

Ptaki śniegu ćwierkają. Co czynisz chcąc dzielić,
Siedzieć tu i patrzeć. Siedziałeś, patrzałeś,
Pożywiałeś się zawartością smutku i lenistwa.
Lampa wieczorami je mnie i pije.
Należała kiedyś do młodej dziewczyny,
Perwersyjna i elokwentna, w składni światła.
To granica zbawienia. Żelastwo rozbite
Pod dziką gruszą, smagane słońcem,
Rozszczepione wiatrem, pomnożone rdzą.
Listy bez odpowiedzi, umiejętność bez daru,
Podniecenie bez miłości, płacz bez płaczu.
Zginęła maszynka do farbowania rzęs,
Z drutu, ponura. Dlaczego tak patrzysz na mnie,
Dlaczego, powiedz. Ja, który odchodzę, ja
Co zostaję. Samotny pokój obłąkany wzrok,
Marynarka rzucona ukosem. Sól stwardniała,
Utrafiona promieniami słońca. Byłeś,
Będziesz przy tym wezwany, aby cię nie zabrakło.
Świadku moich kości, postawiony
Z wygiętą wargą, w dotyku moim skryty,
Napełnisz to, co ci napełnić dano.
Stój więc i słuchaj. Chwila nieuwagi
Przetrawiona, spowita w niezbędne akcesoria.
Ptaki śniegu ćwierkają. Na królestwo dnia
Schodzi powoli wybór wzroku.
Jak wezwać? Leżałem, czekałem i nikt
Nie zstąpił.Poruszaj się powoli, poznaj
Stopą ziemię, poznaj chorobę, powiedz,
Ja, ludzie, świat. Wróć
Do trwożnego piękna, rozważnej namiętności.
Saneczki wiatrem zdmuchnięte z pagórka,
A w dole miasto bodzie kozioł mrozu.

Elegia wiosny transkontynentalnej

Wiosna transkontynentalna łuszczy
Suchy tynk dziewiętnastowiecznych miast, pokazuje
Niezagojone hasła minionych sugestii.
W łatach kałuż i śniegu, dziewczyna na autostopie.
Od chmur radioaktywnych, Eolu, odkup nas.
Ojcze wiatrów. Mówię do ciebie, ponieważ
Zdmuchnąć mógłbyś brzemienne, odwrócić ich gniew.
Mówię, ponieważ mitem jesteś o powietrznych prądach
Który poznałem w szkole sentymentem, wiarą,
Mówię z tobą, ponieważ wzbudzasz zaufanie
Siłą płuc i znajomością rzeczy, ty, stary
Rutyniarzu, nie gniewaj się za poufałość
I formę bez przepisów łacińskich poetów,
Nie w takie przecież chmury wkraczałeś skutecznie,
Abstrakcjo, myśli, instynkcie samoobrony.
To pewnik. Doświadczenie. Mówiono już o tym.
Powtórzmy to raz jeszcze, co trzeba powtórzyć.
Brony, pługi, lemiesze, wozy i uprzęże.
Ziemia żywi się ziarnem, pije deszcze,
Płynie bruzdami do stawów i bajorek.
Pan Dreilinger, handlowiec z Wiednia,
Nie wróci jeszcze jutro międzynarodowym.
Śniadanie zje skromniejsze, niż w kuchni „Orbisu",
W towarzystwie, którego raczej nie przewidział.
Mazowsza przydrożne, Galicje ciche,
Wiosna transkontynentalna, dalekonośna,
Niestety!

PRZECHADZKA

Tekst: MAREK WAWRZKIEWICZ
Zdjęcia: Z. WALTER

Ewa Halicka w programie „Pod Staromiejską latarnią"

Dalszy ciąg ze str. 1

20 kabaretów. Kabaretów? Czy teatrzyk niemal rapsodyczny jest tak samo kabaretem jak teatrzyk, gdzie się śpiewa „Madame Lulu"? Czy kabaret gdzie występują aktorzy można oceniać przy pomocy tych samych kryteriów co kabaret gdzie 18 i 20-letnie dziewczyny trzęsącym się z emocji głosem wywołują burzę entuzjazmu mam, babuś i cioteczek? Bardzo wiele trudności i bardzo wiele wątpliwości.

WSTĘPU CIĄG DALSZY:

POD UWAGĘ SOCJOLOGOM

W Łodzi istnieją kabarety. Stwierdzenie niby blahe, ale przyjrzyjmy mu się jeszcze raz. Bo jest tych kabaretów, jak się rzekło, około 20. Piszę „około" ponieważ ich prawdziwej, aktualnej liczby nikt nie jest w stanie podać. Niektóre powstają, wystawiają jeden program i giną. Niektóre są zakonspirowane niemal tak głęboko, jak niektóre punkty usług społecznych. Ale 20 kabaretów to już całe zjawisko kulturowe, które trzeba gdzieś zaszufladkować, jakoś określić. In plus czy in minus? Nie daję odpowiedzi na proste pytania. Niech czytelnik „weźmie udział" w tym artykule, tak jak publiczność bierze udział w programie kabaretowym...

O CZYM I O KIM RZECZ BĘDZIE: PRAWIE BIBLIOGRAFIA

I. „Poddasze" kabaret literacki redakcji estradowej Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Program „Dziś remanent".

II. Literacki kabaret „Za dwa złote".

III. „Piwnica 59" przy Komitecie Łódzkim ZMS. Drugi program: „Miasto".

IV. „Hurmaczek" — teatrzyk studencki. Program „Pod księżycem".

V. Kabaret staromiejski. Pierwszy program — „Staromiejskie wieczory".

Wszystkie inne kabarety przepraszam za pominięcie milczeniem ich wkładu w rozwój polskiej myśli kabaretowej. I ten który jest podobno w „Casanovie" (mówią, że literacki, bo zaczyna się od litra) i ten ZMS-owskie hen na Kilińskiego i te które dziś powstały i te, które jutro upadną.

ROZDZIAŁ PIERWSZY RADOSNY: „PODDASZE"

Oto mamy w Łodzi kabaret z najprawdziwszego zdarzenia! Jedna pani — Bogdana Majda i panowie — koniecznie trzeba wymienić te nazwiska — Henryk Abbe, Gustaw Lutkiewicz, Eugeniusz Kamiński, Zbigniew Płoszaj, Tadeusz Woźniakowski. Konferansjerkę prowadzi Marian Jeżewski, gra i akompaniuje Tadeusz Dobrzyński, artystycznie i literacko kierują Irena Fenigsen i Tadeusz Dobrzyński.

„Poddasze" najkonsekwentniej chyba utrzymuje się w definicji kabaretu i najbardziej szanuje tradycję. Robi to oczywiście z dużym przymrużeniem oka, czyli właśnie tak jak potrzeba. Program rozpoczyna tradycyjne „zelżenie" publiczności, co oczywiście tradycyjnie wywołuje miłą atmosferę. A potem jest bardzo wiele przyjemnych rzeczy. Śpiewa Tadeusz Woźniakowski — na pewno rasowy piosenkarz. Bohdana Majda z olbrzymią werwą przypomina „Krawat od Chojnackiego" — jedynaczka zespołu występuje zresztą tylko raz. Teksty stare, ale zawsze aktualne, i nowe, które mają wszelkie szanse aby być aktualnymi na starość, mówią i śpiewają Eugeniusz Kamiński i Zbigniew Płoszaj. Wiąże (słowem) skutecznie i dowcipnie Marian Jeżewski. Radości największe zostawiłem sobie na koniec. Henryk Abbe jest aktorem, który może być ozdobą każdego kabaretu. „Panie ministrze..." T. Dobrzyńskiego czy „Krawiec kraje" W. Machejki, to są w wykonaniu Abbego rzeczy kapitalne. Gustaw Lutkiewicz śpiewa kilka razy, ale przede wszystkim „Lorenza" z muzyką Hertla do słów Słowikowskiego. W miarę obleśna i w miarę sentymentalna mina, ręce znakomicie rysujące to co pan Lutkiewicz chciał narysować, a publiczność zobaczyć, no i podanie słowa! Gdyby się udało — fotografować, oprawić w ramki, powiesić na ścianie, Kwartetu „Chała" według zapowiedzi najgorszego na świecie lub „Nasze apasze" — nie wystarczy usłyszeć, trzeba koniecznie zobaczyć. Z dobitną emfazą podane głupiutkie słowa piosenek i czterech panów na estradzie: grających piosenkę i cieszących się piosenką. Bardzo dobra zabawa. Co zresztą odnosi się do całego kabaretu.

ROZDZIAŁ DRUGI POWAŻNY: TU SIĘ UCZY!

Zacznę od bicia się w piersi: nie widziałem ani jednego programu kabaretu „Za dwa złote". Błąd poważny i nie do naprawienia z przyczyn technicznych — kabaret pauzuje. A napisać o nim trzeba koniecznie i poważnie: tu się zrobiło bardzo dużo. Kabaret „Za dwa

PO KABARETACH

Widownia kabaretu „Poddasze"

złote" powstał w listopadzie 1958 r., założony przez literata Grzegorza Timofiejewa i aktorów Lucynę i Leonarda Andrzejewskich. W pierwszym sezonie swej pracy zajmował się gatunkami i zjawiskami literackimi oraz świętował rocznicę. Wystawił do tej pory szesnaście (!) programów, w których występowali stale Grzegorz Timofiejew, prowadzący gawędę wstępną, Lucyna i Leonard Andrzejewscy, Horacy Safrin, Bronisław Hain, Ryszard Bacciarelli a także — wymienię tylko niektóre nazwiska — Danuta Dobichowa, Jan Sztaudynger, Marian Piechal. Na uwagę zasługuje fakt, że kabaret udostępnił swoją estradę debiutantom: młodym poetom, recytatorom i piosenkarzom, współpracował również z STS przy WAM „Verbum". Kabaret uczący. I — jak wszyscy mówią — kabaret, który potrafił nauczyć. Czego? Przypatrzmy się tytułom niektórych programów. „Śmiejemy się i śpiewamy" „Anegdota", „Parodie literackie i estradowe" „Parasol noś i przy pogodzie", „Ballady smutne i wesołe", „Szyldy, reklamy i wiersze sztambuchowe" „Jarmark rymów" (przegląd estradowych utworów Tuwima). Uczył więc ów kabaret gatunków literackich, ukazywał ich twórców, zbliżał utwór literacki do publiczności. Uczył nawet gustu — na programie pt. „Mieszczańskiego pokoju szablonowe firanki" tak zręcznie wyszydzono mieszczańskie gusta spod znaku jelenia na rykowisku, że pewna pani, od której rekwizyty do programu wypożyczono, nie obrażając się i pozostając wielbicielką kabaretu nie ozdobiła już swojego mieszkania makatkami z rynku ani gipsowymi figurkami. Kabaret uczył rzeczy „niewymiernych dotykiem", dowcipu i humoru — tego, co tak bardzo ułatwia i umila życie. Czy się podobał? Wystarczająco dobitnie mówi o tym i to, że ma stałą publiczność i to, że wykonawcy nawet otrzymywali zaproszenia na uroczystości rodzinne. Jeszcze jedno zasługuje na uwagę: „Kabaret za dwa złote" najlepiej umiał włączyć w swój program publiczność. Przez ukazywanie swojej „kuchni", przez wspólne piosenki, a nawet przez wspólne spożywanie pierników w programie „Piernikalja" (contra Juvenalia). „Kabaret za dwa złote" w drugim sezonie swojego istnienia przekształca się w teatrzyk marzeń. Śliczny pomysł! Aktorzy będą grali role, których nie mogliby może zagrać w swoim teatrze, publiczności zaś zostaną udostępnione sztuki, których może nigdy nie miałaby okazji obejrzeć. Pierwszy program teatrzyku marzeń związany z rocznicą Czechowa wystawiony będzie w Klubie TPP-R. Obejmuje trzy jednoaktówki: „Oświadczyny", „Niedźwiedź" i „Jubileusz". Zagrają w nim A. Jurkowska, R. Bacciarelli J. Walczak, L. i L. Andrzejewscy. Potem teatrzyk marzeń „wejdzie w lud" — do świetlic zakładowych i klubów. Unikałem tu świadomie ocen. Praca jaką wykonał kabaret określa go wyraźnie. Mam wrażenie, że w samych superlatywach.

DZIŚ TYLKO U NAS Ula Sygulska — wykonawczyni Pieśni o Janie — Jurandota

ROZDZIAŁ TRZECI LIRYCZNY: O MŁODOŚCI

Drugi program „Piwnicy 59" można by skwitować krótko: stoi pod znakiem nieudolności. Młodzi ludzie przeważnie nie umieją mówić, na pewno nie umieją śpiewać, nie umieją schodzić ze schodów, nie umieją siadać. Kiedy już usiądą, mają bardzo wielkie trudności ze wstawaniem. Dobrosław Mater nie umiał zrobić dobrego programu, czemu się zresztą nie dziwię. Wiersze i inne teksty, które nabrałyby może mocy w ustach innych wykonawców, w tym wykonaniu wyraźnie ukazują swoją słabość, ba, nawet czasem drażnią. Kwiatków w rodzaju filozoficznie powiedzianego banału „gra pozorów", czy straszliwej „orgii mokrego szkarłatu" jest wiele. Nie ratuje tego programu nawet dobra nagół muzyka Michała Targowskiego i melodyjne piosenki (jedna nawet bardzo dobra: „Ballada o chłopcu, morzu i dziewczynie"). Czy jednak wystarczy to, co napisałem wyżej?

Są rzeczy niewymierne, nie do ocenienia przy pomocy kryteriów, jakie się przykłada do dojrzałych wykonawców, aktorów. Gdyby była jakaś miara przeżycia wiersza czy piosenki „Piwnica 59" byłaby zespołem najlepszym. Aż dziwi ta niebezpieczna przecież młodość, rozgorączkowana, z olbrzymią tremą, nerwowym załamywaniem się głosu tupetem, którym stara się pokryć niepewność. To jest ładne: ładna dziewczyna z dygoczącymi w emocji kolanami chce jak najlepiej zaśpiewać, powiedzieć. To wzrusza. Wierzę, że ci młodzi w swoim wykonaniu programu o Łodzi (trochę do przesady o Łodzi) starali się zawrzeć cząstkę — powiedzmy tu wielkie słowo — autentycznej miłości do miasta, w którym żyją. Chcieli je najładniej pokazać, rzucili mu kwiaty „na kratę chodnika". To bardzo sympatyczny gest. I jednak bardzo sympatyczny zespół. Życzę mu lepszego programu, okrzepnięcia i wytrwania. Życzę też rzeczy chyba najważniejszej: zachowania młodości.

ROZDZIAŁ CZWARTY KRÓTKI I POLSKI: O „HURMACZKU"

Było to już bardzo dawno. „Hurmaczek" — kabaret studencki — wystawił swój pierwszy program „Pod księżycem". Było to już tak dawno, że właściwie nie można programu oceniać. Był chyba niezły. Wprawdzie w jego drugiej części efekty polegały na krzykach i hukach i marzyło się o chwili spokoju, ale pierwsza, bardzo kabaretowa część, rekompensowała widzom początkowe niedostatki. „Hurmaczek" miał dobrych wykonawców. Szczególnie w pamięci utkwiła mi swoboda zachowania się na estradzie, oryginalnością i zupełnie nieamatorskim aktorstwem Alina Pajek. Prawie równie dobry był Ryszard Czubaczyński i Jerzy Katarasiński. Zespół dał kilka występów, wyjechał na prowincję i umarł. Obecnie próbuje ożyć i szykuje drugi program poprzedzony miesiącami konstytuowania się, ustalania koncepcji, planów. Ma wystartować w ciągu marca lub kwietnia. Do czego gorąco dopinguję i o czym z satysfakcją zawiadamiam.

ROZDZIAŁ PIĄTY I OSTATNI: O ZAPALANIU ŚWIECZEK.

Najpierw gaśnie światło, a na stolikach zapalają się świeczki. Potem Włodzimierz Skoczylas „nieci ogień" w staroświeckiej latarni. Kawiarnia „Staromiejska" zmienia się nie do poznania. W tej ładnej, staroświeckiej scenerii rozpoczyna się „Wieczór pod staromiejską latarnią". W kawiarni „Staromiejskiej" siedzi kabaret Włodzimierza Skoczylasa: Ewa Halicka, Tadeusz Woźniakowski i Bohdan Pawłowski. Siedzi bardzo niewygodnie, ale mocno — wystawił już osiem razy swój pierwszy program. Pisać o nim dość trudno, jest nierówny: obok zupełnie dobrych zarówno literacko jak i aktorsko numerów rzeczy żenująco słabe (exemplum „Telefon"). Program obliczony na uśmiech, na lekki sentyment, trafia do słuchacza wyrwanego z upojnych pląsów — a to już poważny sukces. Śpiewa się stare piosenki i mówi się teksty przeważnie stare, ale te do których chętnie się wraca. To jest ogólna linia kabaretu: mówienie z uśmiechem i sentymentem o rzeczach starych. Czekamy na następny program, który Skoczylas przygotowuje na koniec lutego.

PRZECHADZKI TYMCZASOWE ZAKOŃCZENIE

Tymczasowe, gdyż będziemy jeszcze wracać do tego tematu. Tematu chyba ważnego: trzeba mówić o zjawisku, które wzbogaca jednak aurę kulturalną naszego miasta, jakoś ją konstruuje. Chcemy aby kabarety systematycznie oddalały się od niebezpiecznej granicy łatwizny i szmiry. I będziemy się cieszyli, jeśli następna przechadzka będzie już zupełnie liryczna.

M. WAWRZKIEWICZ

Radiowy kabaret — PODDASZE na scenie kwartet „Chała"

BOLESŁAW DUDZIŃSKI ● **DOBRY START LITERACKI** ● **BOLESŁAW DUDZIŃSKI**

Przeczytawszy na obwolucie książki Anny Danuty Kaczyńskiej *) w nocie od Wydawcy, że centralną część tej powieści zajmuje opis porodu, zaniepokoiłem się dość żywo. Tym bardziej że niedawno ukończyłem lekturę powieści młodego polskiego autora, wypełnionej bez reszty rozmyślaniami i majaczeniami umierającego suchotnika. A teraz dla odmiany — ginekologia. Czy nie za wiele jednak tej medycyny w naszej nowej literaturze?

Casus p. Kaczyńskiej wygląda jednak — że tak powiem — łagodniej niż tamta agonia gruźlika. Wprawdzie poród, o którym mowa we wspomnianej nocie, był skomplikowany i męczący, ale na szczęście (dla czytelnika) nie stanowi on sam w sobie celu autorskich zamierzeń. Jest natomiast czymś w rodzaju katalizatora, który wywołuje łańcuchowe reakcje uczuciowe i myślowe dwóch bohaterek powieści Kaczyńskiej.

Dwie kobiety i jeden mężczyzna — oto „trójkątny" schemat konstrukcyjny tej powieści.

Przez 10 lat Marek, artysta-malarz i grafik, żył w małżeństwie z Teresą, która swą wytrwałością dopomogła mu w ukończeniu studiów. Potem porzucił ją wraz z dwuletnim synkiem i związał się z młodszą i bardziej atrakcyjną Aldoną. Obie pracują w tej samej redakcji: pierwsza jako skromna maszynistka, druga — na stanowisku dość eksponowanym. Teresa jest typem na wskroś pozytywnym: umie kochać wiernie, umie się poświęcać, potrafi borykać się z niełatwym życiem i pokonywać przeciwności. Aldona, też nie bez zalet, jest jednak bardziej „na zewnątrz" i ma snobistyczne ciągoty. Dzień porodu Aldony staje się dla obu tych kobiet okazją do retrospektywnych rozpamiętywań i aktualnych uczuciowych porachunków z Markiem. Mimo odmienności sytuacji, w jakiej się znajdują, każda z tych kobiet może sobie rościć do niego formalne i merytoryczne prawa. Ale ich uzasadnienie nie wygląda dla każdej z tych kobiet jednakowo.

Materię swej powieści splotła Kaczyńska z dwu kontrastujących wątków: z wątku Teresy i wątku Aldony. Autorka od początku do końca przeplata, wiąże te dwa motywy tematyczne. Przypomina to posługiwanie się kontrapunktem w utworze muzycznym. Kaczyńska stosuje tę melodię — przyznajmy dość zręcznie. Zasadniczą sprawą jej powieści jest nurt liryczny, emocjonalny, ukazany dwoiście, z dwóch odmiennych psychologicznie pozycji. Jak na debiutującą pisarkę, Kaczyńska potrafiła ucieleśnić swój zamysł w sposób na ogół konsekwentny i interesujący. Ale sprawiedliwość każe też przyznać że jak na powieść trochę za mało tu — treści.

Gdyby tak wśród Czytelników urządzić plebiscyt: za Teresą czy za Aldoną — ciekaw jestem jakie byłyby wyniki. Ja osobiście głosowałbym za Teresą, gdyż — jak sądzę — słuszną jest rzeczą zawsze dawać wyraz współczuciu dla niezawinionej ludzkiej krzywdy. A na jeszcze większe współczucie zasługuje pięcioletni syn Teresy i Marka — Piotruś, który w swym dziecinnym sercu żywi nieukojoną tęsknotę za ojcowską miłością. Ten Piotruś, narysowany przez autorkę delikatną kreską, jest naprawdę wzruszający. Tym więcej, że takich opuszczonych przez ojca Piotrusiów jest dzisiaj wielu, tak wielu, że stają się oni już — zjawiskiem społecznym.

*) *Anna Danuta Kaczyńska „Z ziemi i deszczu", Łódź, W-wo Łódzkie 1959, str. 160, cena 12 zł.*

DOM KSIĄŻKI

Zadorowowie — rocznik 40

KONRAD FREJDLICH

Długo nie mogłem znaleźć tego domu. Pod koszarami szesnastoletnie smarkule wyśpiewywały jakieś głupstwa, na śniegu było pełno śladów podkutych butów żołnierskich. Jakiś człowiek z teczką powiedział wreszcie, że to koło koszar.

Budynek jest szary i brudny od strony ulicy, a w środku niewiele lepszy. Żadnej tabliczki, żadnego znaku że to jest właśnie hotel robotniczy, gdzie mieszkają studzieńscy chłopcy. Zajrzałem do dyżurki. Siedział tam portier z wąsem a la czołowy felietonista „Dziennika Łódzkiego". I poznałem portiera, pana Stanisława.

— Pan pewnie do tych chłopaków, ale oni teraz w robocie, samochód po nich przyjeżdża, zawozi ich na Widzew. Ale jeden jest na górze, chory, to możesz pan tam pójść, pokój 27".

* * *

Poszedłem. Nie błądziłem, choć pierwszy raz. Oni są tutaj już od końca listopada, ładny kawałek czasu. Wytrząsnęli wilgoć z czarnych mundurków Zakładu Poprawczego, i zaczęli od szorowania, skrobania dwuletniego brudu, wynoszenia śmieci. Kierownik hotelu, też z wąsikiem, tylko trochę drobniejszym, biegał,potrząsał głową, ani się nie zaczerwienił. „Fajne chłopaki" — mówi. Przyzwyczajony widać do występowania przed publiką, bo to dawny kapelmajster. A za parę dni przyszedł do wychowawcy i mówi, że można by z nich zrobić jakąś orkiestrę, choćby mandolinistów, chłopcy są pojętni to się nauczą, on poprowadzi. A chłopcy robili swoje. Założyli światło, postarali się o stoły i taborety. Drzwi już nie mogli zmienić. Więc zostały, zacinają się do dziś. Tyle, że trzeba umieć je otwierać. Inaczej strzelają suchym, nieprzyjemnym trzaskiem.

Uderzyło czystością i porządkiem innym niż na schodach i w korytarzu. Spora salka, łóżko chorego na wprost drzwi przy oknie. Ale porozumienie jest niemożliwe — śpi. Na łóżku leżą książki, na podłodze słoik z dżemem. Potknąłem się o jakiś taboret. Gdzie się podziało ich cwaniactwo? Długo przeciera oczy, potem siada na łóżku, podaje rękę.

No, oczywiście, ciekawi go co nowego w Studzieńcu, przez te parę miesięcy zdążył już zapomnieć co i jak. Ale tak naprawdę, nie ma sensu odgrzebywać starych spraw. Było, minęło. Codziennie teraz chodzi do pracy, w niedzielę do kina, czasem można samemu pójść na miasto. Są ludzie na ulicy, w pracy, są ładne dziewczęta. W fabryce fajna robota, pracował na dachu, dekarz. Zagapił się trochę na drabinie, zleciał w śnieg, jego wina. Poza tym się przerwał, nosił trochę za ciężkie rzeczy, tak powiedział lekarz.

Spadł z drabiny akurat w dzień urodzin, dziewiętnaście lat, przeleżał pół dnia w szpitalu. Rano go przywieźli do hotelu, po dwóch dniach już chodził. Właściwie w tej fabryce chciałby zostać na stałe, robota jest fajna to fakt. Nim go zabrali do Studzieńca, mieszkał na Śląsku w małej wiosce. Zdarzyło się, rąbnął na zabawie faceta raz i drugi po buzi, pierona tam, będzie szedł z nożem i groził? Tu jest czterech Ślązaków. Trochę się martwi, bo trzeba będzie na Śląsk wrócić, pierona tam, trzeba się zdecydować, starym pomóc chociaż trochę, bo ziemia czeka. Zawsze szkoda ziemi, żeby marniała. Na imię mu Alcizy. „A panu Konrad? Też fajnie".

* * *

Potem przyszedł Szulc, wysoki chłopak, przyniósł obiad. Ma rodziców w Łodzi częściej jest u nich, niż w hotelu. W fabryce pracuje jako szklarz, za parę tygodni zostanie uwolniony zupełnie od kary, ale nie będzie już taki frajer, żeby chodzić pod kina. Robota jest przyjemna, na ogół czysta, tnie się szyby. Poza tym można pić dużo mleka, które specjalnie dla niego przynoszą kucharki. Lubi sobie całe wiadro postawić w szafie. Jak się zachce pić, to otwiera szafę i pije, przez cały dzień może tak wypić z pół wiadra. Tylko szkoda reszty, że się tak marnuje. Dzisiaj chłopcy wrócą trochę później, trzeba jeździć tramwajem.

Przegadaliśmy półtorej godziny. Otworzyły się drzwi. Chłopcy przychodzili po dwóch, trzech, prostowali plecy jak ludzie pracy, siadali na łóżkach. Nadszedł i wychowawca Kaczorowski.

Sędziowie (II)

Bezlitośnie opatałem, wychowawcę Kaczorowskiego, sympatycznego młodego człowieka, który z Warszawy przyjechał do Studzieńca, odgrodzonego od świata i codziennych spraw ludzkich murem obojętności i niezrozumienia. Usłyszałem opowieść o ciotce, poczciwej staruszce, kuratorce Sądu dla Nieletnich. Jej to zawdzięcza aparat sprawiedliwości przyjazd Kaczorowskiego do Studzieńca przed rokiem, a teraz do Łodzi.

— Weź się za uczciwą pracę wychowuj nieletnich, a na Boga, rzuć swoich warszawskich nieuków, z których wyrosną kiedyś urzędnicy." — powiedziała o dziewięcioletniej pracy swego kuzyna w oświacie.

Posłuchał, a teraz jest skazany na cygańskie życie z wychowankami. Taka praca męczy, mniej co prawda niż w szkole, ale: „Niech pan wierzy, to można polubić".

Chłopców jest dwudziestu, wybranych z dużej liczby wychowanków Studzieńca.

— Teraz się panu przyznam, że w gruncie rzeczy wolę ich od ugrzecznionych uczniów, z którymi właściwie nie wiadomo, co robić. Tutaj, w tym hotelu choćby, człowiek widzi pozytywność własnej pracy. Dlatego wolę moich chłopców od wymuskanych gimnazjalistów. Jak pan nie zrobi takiej miny, jak prawie wszyscy dyrektorzy łódzkich fabryk, to powiem o naszym eksperymencie, w którego powodzenie wierzę. Kiedy ich wszystkich zwołano do KŁ PZPR i powiedziano: Dostaniecie chłopców z poprawczaka", to pobledli, pogarbili się, a każdy bał się, że trafią do niego. Wtedy wstał dyr. Malinowski, od włókien sztucznych na Widzewie, powiedział, że bierze chłopców do siebie. Inni mu gratulowali i ocierali pot. Ale za parę miesięcy będą mu zazdrościć, przekona się pan, że będą zazdrościć.

* * *

Wychowawca Kaczorowski ma rację. Tych chłopców trudno nie lubić, a za parę miesięcy wszyscy ich będą chcieli zatrudnić u siebie. Kiedy przyszliśmy na górę, leżeli już w łóżkach. Inni mieszkańcy hotelu chodzili gdzieś po korytarzu, trzaskali drzwiami.

Jak ich nie lubić? W tym zapuszczonym hotelu, którego mieszkańcy przeniosą się niedługo na ulicę Złotniczą i pies z kulawą nogą nie zostanie, zbudowali mur między sobą. To na nich wszyscy czekali, zrobiło się jakby cicho, nikt mi już nie ułatwiał rozmowy. A potem za wzrokiem wszystkich spojrzałem w róg pokoju. Jedno żelazne łóżko pozostało puste, gładkie.. Jednemu spośród siebie kazali odejść. I teraz już wiedziałem. Ci wszyscy młodzi chłopcy są sędziami. Z podsądnych stali się tymi, którzy wydają wyroki. Wspaniała i jednocześnie jak niedojrzała jest ich dwudziestoletnia sprawiedliwość.

To już drugi wyrok. Najpierw odszedł taki wysoki chłopak, który do wszystkich odnosił się z lekceważeniem i chciał nad nimi panować, a oni komendantów nie lubią. Bo są i tacy komendanci, którzy nic nie robią, obijają się z kąta w kąt, a z nimi ich zastępcy i higieniści. Ale ten był jeszcze gorszy, bo pracował i „podrabiał" ich do robotników, chciał rozbić kolektyw. A kiedy blondynowi ze spawalni, (też z paczki studzieńskiej) cisnął szufle śniegu w twarz — kazali mu wracać do Studzieńca. Napisali do dyrektora, przyjechał. Powiedzieli — zabierać. I ten duży komendant, najsilniejszy z nich, płakał w fabrycznym biurze.

Teraz drugi. Dobry chłopak, uwolniony od kary, z własnej woli mieszkał z nimi. Nie chciał wracać do matki i ojczyma w Kieleckiem. Został w hotelu, został w fabryce, pracował. A wczoraj napił się wina. Dostał wypłatę (pewnie inni robotnicy więli go ze sobą, pierwsza w życiu wypłata). Przez zwykłą chłopięcą słabość popełnił czyn, który uznali za niegodny. To może być dobre dla tych, z którymi mieszkają przez ścianę, ale niegodny jest ich, chłopców studzieńskich. Narady trwały cały dzień, szeptanie po kątach, pertraktacje z wychowawcą, który chciał go ocalić, obronić przed ich surową sprawiedliwością. Tamten chłopak nie miał w gruncie rzeczy do kogo wracać, matki nie kochał, już chyba raczej ojczyma, ale czy obcego człowieka można naprawdę kochać? Nikt w fabryce na Widzewie, gdzie chłopcy pracują, nie przypuszczał, że tutaj w odorze chemikaliów, zgrzycie maszyn, w oślepiającym świetle płomienia acetylenowego — toczy się proces. Nikt nie przypuszczał, że chłopcy tnący spokojnie arkusze blachy, noszą w sobie znamiona sprawiedliwości, stanowią sąd przysięgłych.

Wyrok zapadał powoli. Zgrzytały wagony przetaczane na bocznicy, syczał palnik acetylenowy. Z kawałkami rozgrzanego metalu padały na ziemię paragrafy niepisanego prawa godności wychowanka. „Zadorowowie — rocznik 40" sądzili swojego rówieśnika. Oskarżony powoli zjadał obiad. Był blady i do nikogo się nie odzywał. Nikt mu

(Dokończenie na str. 11)

Młodzi chłopcy wykonują różne zajęcia w zakładzie

Spawacz przy pracy na oddziale remontowym.

Zdjęcia H. Kozakow

Władysław Rymkiewicz

ROMANS KRÓLEWSKI

Powieść historyczna

IX.

Streszczenie

Akcja „Romansu królewskiego" rozgrywa się w XVII wieku, w okresie walk z kozaczyzną. Tuż przed bitwą pod Beresteczkiem król Jan Kazimierz postanawia odsunąć od wpływu na rządy, podkanclerzego Radziejowskiego spiskującego przeciwko władzy królewskiej. Ale po bitwie skutki tego kroku nie dają na siebie długo czekać. Dowiadujemy się o tym z opowiadania porucznika Rylskiego, który w namiocie rannego podczas bitwy Butlera — jednego z bohaterów powieści — relacjonuje przebieg starcia wojsk królewskich z Kozakami.

●

— Rzecz w tym, że król chciał wykorzystać zwycięstwo, dognać i zniszczyć niedobitki tatarskie i kozackie na Ukrainie, i zapewnić tym sposobem pokój Rzeczypospolitej. Wojska kwarcianego było na to za mało. A nasze pospolite ruszenie? Otóż to, że z naszym pospolitym ruszeniem niczego wielkiego dokazać nie podobna.

Tyzenhauz ujął oburącz konew z piwem, przystawił do ust i zaczął pić chciwie. Jabłko Adama poruszało mu się przelewnie pod skórą, piwo ściekało z podbródka. — Im więcej się pije, tym większe pragnienie i poty, a ugasić pragnienia nie można. — Odstawił konew na stół — Pospolite ruszenie jeszcze przedtem miało z królem na pieńku — wierzchem ręki otarł pianę z mokrych wąsów. — Poszło o to, że król, chcąc wdrożyć szlachtę do subordynacji, wcielił ichmościów do pułków kwarcianych, podobnie jak to zrobił Chmielnicki z czernią. Jak się więc dowiedzieli, że mają maszerować na Ukrainę, zwołali koło generalne i nuże wrzeszczeć, że chcą do domu, do gospodarstw, do żon, do pierzyn.

Umilkł, zmrożony wyczekującym milczeniem Butlera, który z rękami podłożonymi pod głową spozierał nań zimno żółtawymi oczami.

— Waszmość pewnie ciekaw, kto podburzył szlachtę? — Rylski wytarł chustką kark. — Strasznie gorąco — westchnął — Któż by, jak nie pan podkanclerzy ze swym przyjacielem podczaszym sandomierskim. Dębickim? Dobrały się dwa łotry wierutne. Podkanclerzy przed bitwą rękę królewską całował i o przebaczenie prosił. Rozumiem, że król jegomość cnotą chrześcijańskiego miłosierdzia powodowany, i że to przed bitwą, z której niejeden na Sąd Ostateczny miał zostać wezwany, pozwolił się przebłagać i winę darował. A w tydzień później podkanclerzy, gad przebrzydły, nowy bunt przeciwko swemu panu i dobroczyńcy podnosi. I o co? Nikt tego nie wie lepiej ode mnie, bom ja się nasłuchał tych rozmów i sam byłem do zdrady podmawiany. Jak pani podkanclerzyna do Kryłowa nad Bugiem odjechała, a jam z oddziałem piechoty nadwornej w obozie został, tom chcąc nie chcąc był świadkiem niejednej rozmowy podczaszego Dębickiego z moim panem. Nieraz tom się musiał w język gryźć, żeby jakiego niewczesnego słówka do rozmowy nie wtrącić. A świerzbiało mnie, bo psy na królu wieszali, jak na ostatnim sprzedawczyku i judaszu. Podkanclerzy z niczym się przede mną nie krył — Rylski z dumą napomknął o tym. — Niby taki mądry statysta, a przecież zadufany w sobie do zaślepienia! Myślał pewnie, żem jak u niego na służbie, tom się już mu zaprzedał i cyrograf podpisał jak diabłu.

— Mówiłeś waćpan, że na króla wygadywali — cierpko przypomniał Butler.

— „Wygadywali"? — Rylski ruszył ramionami. — To mało powiedzieć „wygadywali" — wpadł ponownie w tok rozsierdzonego gadulstwa. — Łżyli, znieważali, pletli brednie i androny. Że król umyślnie wypuścił Kozaków z obozu, że wziął za to 80.000 złotych, że podpisał tajny traktat z Wenecją, żeby pospolite ruszenie na Turcję poprowadzić i szlachtę wytracić. Wreszcie, że według konstytucji pospolite ruszenie ma obowiązek tylko dwie niedziele w polu pod bronią stać, nie dłużej.

— Łotry! Zbóję wierutne! Rzucać oszczerstwo na wznioślą postać króla, który w największym niebezpieczeństwie podjął obronę ludów i państw od Boga sobie poruczonych! — Butler sypnął przekleństwami. — Ale mówże waćpan dalej.

— Dalej? Po naradzie w kole generalnym pan marszałek koła Dębicki, orator wymowny i nader wśród szlachty popularny odniósł królowi uchwałę, że pospolite ruszenie na Ukrainę nie pójdzie i gonić Tatarów nie będzie.

Butler dźwignął się i usiadł na posłaniu. — To rokosz.

— A właśnie! — porucznik przestraszył się jakby nieco Butlera, dla którego żywił szacunek pomieszany z uczuciem bojaźni. Czasem bojaźń brała górę i Rylski doznawał uczucia niezrozumiałej winy (jakby dopuścił się czegoś niewłaściwego, a nawet szkodliwego). Ale ponoć i sam król jegomość zdradzał lęk przed oberszterem, który miał charakter zimny i nieugięty, i powodował się jakąś nieubłaganą surowością wymagał od ludzi więcej, niż mogą i potrafią.

— A właśnie! — powtórzył Rylski. — Niech skonam, jeżeli dodałem choć słowo. Wszystko to potem zostało jota w jotę powtórzone na kole generalnym, któremu marszałkował nie kto inny, tylko pryncypalny podżegacz i przyjaciel podkanclerzego, pan Dębicki.

Takie to sprawy — zakołysał głową małą i kształtną, z podgolonym czubem jasnych włosów.

Tyzenhauz przesłuchiwał się w milczeniu rozmowie. Nie odzywał się więcej, tylko po bezwąsych ustach, po cienkich wargach przewijał się wymowny ironiczny uśmieszek.

Kapa uniosła się i do namiotu zajrzała skudlana głowa pacholika ukrytego za płótnem. — Jegomość!

— Czego chcesz? — warknął porucznik, a do Butlera grzecznie: — To hajduczek pana Radziejowskiego.

— I znów hałaśliwie: — Czego chcesz?

— Pan kazał wołać jegomościa na rozmowę.

— Na rozmowę? Bene. Idź precz!

Pacholik wytrzeszczał oczy.

— Na co czekasz, nebulonie? — wrzasnął porucznik. — Rzekłem: bene. Dobrze!

Głowa znikła.

— Na mnie pora — oznajmił Rylski — Czołem waszmościom!

Ruszył energicznie do wyjścia i udał się na kwaterę podkanclerzego. Powoli obszedł łukiem wielki namiot z siodlowatym dachem i zajrzał ostrożnie do wejścia dla domowników. Uchyliwszy zasłony zdębiał i przez moment nie wiedział, co począć, zostać, wejść do środka czy cofnąć się.

Rys. Tadeusz Kościelak

Podkanclerzy kopał, deptał, gniótł nogą w czerwonym bucie tłuste cielsko klęczącego na czworakach, podścianą namiotu pana podczaszego Dębickiego. — Judaszu! Gudłaju! Wszarzu! — zamierzył się czekanem.

Porucznik dopadł pana z tyłu i wyjął mu nadziak z ręki jak ojciec odbierający dziecku niebezpieczne narzędzie. — Na litość boską, co wasza dostojność chce uczynić?

Hieronim Radziejowski odwrócił się powoli. Zaczerwieniona mięsista, sfaldowana twarz zaczęła się wygładzać, zdumienie i wściekłość ustępowały miejsca wyrazowi nadąsanej wdzięczności za wyjęcie broni z ręki. — Wstań! — zagrzmiał na podczaszego. — Zostań! — rzucił dworzaninowi. — Żeby mnie znów kolera nie wzięła. — Nogą wyłuskał karło spod stołu, usiadł i nalał z flaszy petercymentu do srebrnych kubków.

Rylski pogładził palcami ozdoby na czekanie złotem nabijane, obrócił w rękach mahoniowy trzonek laski z żelazną skuwką na końcu. Pod maską chłodnej obojętności uśmiechał się z zadowoleniem patrząc, jak gruby pan podczaszy sandomierski dźwiga się niezdarnie z klęczek i zasapany siada na stołku.

Podkanclerzy wypił długimi łykami petercyment, napełnił jeszcze raz ten sam kubek i podał rotmistrzowi.

— Konia siwego tureckiego z rzędem, pod pierścieniem, siodłem, koncerzem, czaprakiem srebrogłowym darowałem ci i ofiarowałem — ciężkim głosem zaczął mówić grożąc palcem panu Dębickiemu. — I Kryłów nad Bugiem miałem ci dać w dzierżawę wieczystą...

Na słowo „dzierżawa" kubek z petercymentem drgnął w ręce rotmistrza. Otóż, tacy właśnie byli jaśniewielmożni panowie! Podarunkami i dzierżawami, a ty, hołyszu, kontentować się musisz łykiem petercymentu.

— ...byleś mi wiernie i poczciwie służył — z naciskiem dokończył zdanie pan Radziejowski.

Podczaszy sandomierski przeciągnął palcami po wąsach. — Żem zbuntował szlachtę, jak tego chciałeś — błysnął przekrwionymi oczyma — to mnie teraz sekujesz.

— Nie „jak chciałem", ale o wiele za bardzo.

— Waszmości trudno dogodzić — podczaszy sapał. — Waszmość wywracasz kontusz podszewką do góry.

— Tłumacz tu głupiemu! — irytacja znów zaczęła kipieć w słowach podkanclerzego.

— Ileż razy powtarzałem? Trzeba było tak prowadzić grę, żeby mostów za sobą nie palić i ze zmianą pogody szlachtę królowi do tronu doprowadzić.

— Trudno utrafić — szyderczo westchnął pan Dębicki. — Kto tam pojmie twoje zamysły? Raz chcesz waszmość zrobić królowi figiel za figiel; uwiódł ci żonę, tedy...

Podkanclerzy tupnął, zgromił przyjaciela wzrokiem. — To prawda, że głowa waćpana za mała na pojęcie moich zamiarów. Alem ci wszak tłumaczył nie raz i nie dwa, żem chciał królowi pokazać, jak wielką mam między szlachtą miłość i popularitatem, dla której bym innego godzien od tronu poszanowania.

— Ejże, tylko tyle? — drwiąco powątpiewał podczaszy.

— Tak nisko mierzysz, Hieronimku?

— Mierzę wyżej! — podkanclerzy wstał, sapnął jak miech i jakby dla wyładowania nurtującej go energii przeszedł się lamparcim krokiem po namiocie. — Ja bym mu pokazał, jak rządzić. — Zatrzymał się i rozkraczył pośrodku namiotu. — Jeżeli mu ciężka korona, jeżeli leniwym umysłem nie potrafi ogarnąć całości spraw tego Królestwa, to niech abdykuje i wraca do ojców jezuitów albo przyoblecze z powrotem purpurę kardynalską — obu rękami szarpał pas na żupanie, w który się przebrał · zmieniwszy strój szwedzki na polski dla przypodobania się panom-braciom. — Znajdą się inni, bardziej godni berła i korony.

— Tum cię czekał — pan Dębicki zarechotał błazeńskim śmiechem i palnął się w kolano. — Wysoko mierzysz, Hieronimku...

Ucichł nagle, jakby zachłysnąwszy się strachem z powodu swego zuchwalstwa. Może uprzytomnił sobie, że przebrał miarę?

„Wysoko mierzysz, Hieronimku" — porucznik powtórzył w myśli słowa podczaszego. Na Boga, o czym oni tutaj mówią? Jak wysoko sięgają ambicje podkanclerzego?

— Można było w parę dni zaagitować i poderwać szlachtę do rokoszu — przezornie zmienił temat podczaszy obserwując wciąż podkanclerzego — Ale teraz jedną mową w kole generalnym odwrócić wszystko i namówić ichmościów do posłuszeństwa królowi niepodobna. To tak, jakby kto podpalił miasto — tłumaczył nie spuszczając wzroku z Hieronima Radziejowskiego — i spodziewał się, że sam jeden pożar ugasił.

— Razem będziemy gasić. Razem — mocno akcentując sylaby powiedział podkanclerzy. — Pamiętaj, że w jednej łódce niełaski królewskiej ze mną płyniesz. — Spojrzał na porucznika i zawołał, jakby zapraszając go do koła sprzysiężonych w walce z Janem Kazimierzem — Rylski.

Porucznik odstawił kubek na stół.

— Rylski — z rubaszną łaskawością poklepał podkanclerzy dowódcę wojsk nadwornych po ramieniu. — Waćpan zna humory panów-braci. Powiedz, dadzą się ichmoście na stronę króla przeciągnęć czy nie dadzą?

Porucznik wsparł się na czekanie, wystawił jedną nogę do przodu, zamyślił się i pokręcił z wyrazem powątpiewania głową. — Nie dadzą, wasza miłość — odrzekł rozważnie tonem powściągliwego ubolewania, pod którym kryła się piekielna uciecha. — Będą chcieli do domów, do pierzyn...

(d. c. n.)

Cóż więc o tobie myślą-telewidzu?

Decydując się wznowić po różnych przypadłościach naszą — nieco zresztą obecnie uszczuploną i wychudłą — kolumnę telewizyjną, poczęliśmy się zastanawiać, do kogo właściwie mówimy i dla kogo piszemy, słowem — kim ty jesteś, telewidzu?!

Było to trudne pytanie. Było to pytanie tym trudniejsze, że nie chodziło nam ani o twoje wykształcenie, ani o twój zawód, wiek, stan majątkowy czy rodzinny, a raczej o to, jak na telewizję patrzysz, czego się po niej spodziewasz i jak telewizja ta wpływa na ciebie. A że sami sobie odpowiedzi nie umieliśmy udzielić, przeto poczęliśmy szperać wśród wypowiedzi i publikacji — przeważnie zresztą pozakrajowych — i spróbujemy teraz spełnić to, co obiecane w tytule — powiedzieć, co o tobie myślą, telewidzu.

A więc — jak patrzysz na telewizję? Czym różni się dla ciebie widowisko telewizyjne od — powiedzmy — filmu?

„Równoczesnością rozgrywających się wydarzeń i ich percepcji, równoczesnością nadania i odbioru" — odpowiada trójka autorów artykułu opublikowanego zresztą dość już dawno na łamach „Sowietskoj Kultury"

Jeżeli w wypadku filmu w świadomości widza zawsze będzie tkwiło przekonanie, że to, co ogląda, skomponowano lub utrwalono na długo przed projekcją, to w wypadku telewizji następuje jak gdyby zbliżenie do życia — odbiorca staje się współuczestnikiem wydarzeń, ma pewność, że odbywają się one w tej właśnie chwili (oczywiście pewność ta będzie dotyczyć tylko oryginalnych inscenizacji czy reportaży).

I ciekawe — identyczne stanowisko zajmuje angielski teoretyk telewizji Jan Bussel, autor książki „Sztuka telewizyjna" — Bardzo mocno podkreśla on, że walorem telewizji jest i powinien być autentyzm, zwalcza wszelkiego typu „dokrętki" filmowe, powiada, że z chwilą wprowadzenia takiej wstawki, widz z uczestnika aktualnych zdarzeń zmienia się natychmiast w widza kinowego, napięcie uwagi spada, czar pryska...

Czar pryska... A gdy widz raz odwróci uwagę od widowiska telewizyjnego, bardzo trudno zaangażować go ponownie. **„Widzowie w teatrze czy kinie** — pisze angielski dramatopi-

sarz telewizyjny Tod Willis — **są zbiorem indywidualności, dopóki seans czy przedstawienie jeszcze się nie rozpoczęło. Potem stają się grupą ludzi wspólnie doznających pewnych wzruszeń. Między jednomyślną widownią i sceną nawiązuje się nić porozumienia. Dla biednego autora widowisk telewizyjnych pozostanie to nierealnym marzeniem"**.

„Ma on przed sobą publiczność tak liczną, jak nigdy jeszcze w historii — i równocześnie przemawia do pojedynczego widza. Pisze przecież dla jednej rodziny, dla jednego człowieka siedzącego wygodnie w fotelu, który może w każdej chwili wstać i zająć się czymś bardziej go interesującym. (...) Widz telewizyjny staje się indywidualistą: nie ma nikogo z kim mógłby się podzielić swoimi wrażeniami, nie ma nikogo, kto zaraziłby go sposobem reagowania na oglądane na ekranie wydarzenia."

Czy zgadzasz się telewidzu?! Wmawiają ci, że w telewizji lubisz autentyzm, że chcesz być współuczestnikiem wydarzeń dziejących się w studio, wreszcie zarzucają, że jesteś wybredny, że łatwo potrafisz się zniechęcić. Najważniejsze to pierwsze trzy minuty — mówi Williams, przyznając zresztą wcześniej że oceny publiczności telewizyjnej (mowa oczywiście o publiczności angielskiej) są często krzywdzące.

„Widz telewizyjny — pisze — **jest, moim zdaniem, najbardziej żywym, żywo reagującym i pocieszającym samodzielnym zjawiskiem w naszym życiu społecznym."**

Żywo reagującym — zgoda. Ale to nie znaczy — jednolicie,

stąd trudność w zainteresowaniu i zadowoleniu wszystkich.

I wreszcie skutki telewizji. Tu sądy są skrajne, zdania podzielone, głosy bliskie rozpaczy — liczne. Peter Gundwin tak pisze we „Frankfurter Hefte" o swoim życiu rodzinnym: **„Żałujemy niekiedy, że mamy obowiązki poza domem, które nie pozwalają nam oglądać wszystkich audycji telewizyjnych. Z reguły jesteśmy wieczorem około godziny dziesiątej czy pół do jedenastej, ostatecznie „wypompowani". Wszelkie rozmowy rodzinne — krótkie wymiany zdań czy dłuższe debaty — przełożyliśmy na inne czasy..."**

Przeciwnie — Raymond Williams, autor artykułu „Spory wokół telewizji", punktem wyjścia dla którego były ogłoszone nakładem „Oxford University Press" raporty dotyczące spraw dziecka i telewizji.

Stwierdza on, że materiały zawarte w raportach zadają kłam twierdzeniom, jakoby telewizja była przyczyną bierności człowieka czy obniżyła poziom życia — co najwyżej spada na skutek niej zainteresowanie radiem czy kinem, być może zmie

niają się również proporcje czasu poświęcanego na poszczególne czynności. Jeżeli chodzi o dzieci, to telewizja budząc raczej zaciekawienie niż aktywizując intelektualnie ma — zdaniem Williamsa — korzystny wpływ na dzieci mniej rozwinięte, a raczej niekorzystny na starsze i bardziej dojrzałe.

W sumie Williams jest optymistą — stwierdza, że telewizja mogłaby być znakomitym czynnikiem kulturotwórczym gdyby tylko społeczeństwo uzyskało możność oddziaływania na kształtowanie się programów.

Mowa jest oczywiście o Anglii. A co z nami? Czy u nas telewizja również „mogłaby być — gdyby..."? I gdyby co?

cz.

Wszystkie cytaty pochodzą z poszczególnych numerów „Dialogu".

Początki telewizji

Szybko, bo będzie tragedia

Obok zjawiska wzlotów artystycznego ducha na srebrnym ekranie istnieje niestety i jak zwana proza życia. Tą prozą w odbiorniku telewizyjnym będzie zepsuta dioda, nawalony potencjometr, czy też inna część odbiornika dająca w efekcie takie skrzywienie ślicznej buzi Edytki, jakby łyknęła, biedactwo, sporą dawkę octu siedmiu złodziei.

O prozie telewizyjnego żywota chcemy tedy opowiedzieć, bo zanosi się na rzecz nie najlepszą, zanosi się, proszę państwa, na katastrofę!

Mamy w Łodzi 5 punktów naprawy telewizorów, a obok tego mieliśmy w Łodzi w dniu 31 stycznia br. — 16.235 zarejestrowanych odbiorników. Dodając nie zarejestrowane i doliczając do tego, że codziennie rejestruje się 60 nowych telewizorów, możemy być dumni z posiadania już ponad 20 tysięcy odbiorników. Proste wyliczenie matematyczne pozwala także dowieść, że na każdy punkt naprawy (mówimy tylko o punktach uspołecznionych) przypada 4 tysiące odbiorników, że zaś telewizory mają to do siebie, że psują się dość często, zrozumiałym staje się fakt, że na naprawę trzeba czekać 7 dni (to według informacji SOT), a w rzeczywistości i dwa tygodnie, kiedy zaś brakuje jakiejś specjalnej części to i dłużej...

Nie ma na świecie rzeczy bardziej obrzydliwej i bardziej denerwującej jak zepsuty telewizor stojący w domu czy poza domem. Ratę trzeba płacić regularnie, a korzyści z tego żadnej. Na dobitek jak się rzekło, wciąż przybywają nowi posiadacze, a nowych punktów naprawy nie widać...

I na dobitek radio podało, że przewiduje się przedłużenie okresu gwarancyjnego do 18 miesięcy, więc półtora roku! Blady strach padł na SOT-y jeszcze bledszy na fabryki telewizorów, które przecież pokrywają koszty napraw gwarancyjnych, a najbledszy strach padł na telewidzów. Teraz to się dopiero będzie czekało!

Oczywiście telewidz, to istota pełna sceptyzmu gdy idzie o ocenę jakości technicznej naszych aparatów, bo to, jak mówią ten konsument. I choć od chwili wypuszczenia pierwszych naszych prototypów możemy się poszczycić znacznymi osiągnięciami, mamy parę niezłych wersji że wymienimy tu „Belwedery II" i „Szmaragdy", wciąż jeszcze nawalają lampy i potencjometry, wciąż taksówkami zwozi się do SOT tzw. „trupy".

Czy pesymizm z jakim patrzymy na sieć usług naprawczych i na perspektywy jej rozwoju, które by pozostały w jakim takim stosunku do wzrostu liczby abonentów, jest uzasadniony?

Niestety... dopóki nie uruchomi się nowych placówek pesymizm ma swoje uzasadnienie. Ale, donosimy z radością, że się planuje! Będą więc nowe punkty naprawy na Dołach, na Dąbrowie, na Kuraku, na ul. Wierzbowej. Ponieważ punkt na ul. Rzgowskiej przy pl. Niepodległości nie jest w stanie obsłużyć wszystkich chętnych w jakimś przyzwoitym terminie, myśli się o stworzeniu nowej placówki dla Chojen przy hurtowni SOT na ul. Rzgowskiej 74. Tak, to są wieści radosne. Ale jeśli te nowe punkty naprawcze będą uruchamiane w takim tempie jak placówka przy ul. Armii Czerwonej 4, której nie można otworzyć od dwóch lat, bo czegoś tam nie wykończono, to w najbliższym czasie 5 działających SOT zostanie zasypanych górą zepsutych odbiorników.

Chyba, że telewizory nagle przestaną się psuć. Tu jednak przypomina się refren pewnej piosenki: „Chcecie to wierzcie, chcecie nie wierzcie..."

A nowe punkty uruchamiajcie! Jak najszybciej!

(m)

My cieszymy się na razie świetnymi „Szarotkami", a na Zachodzie wchodzi już w modę turystyczna telewizja, ściślej mówiąc małe odbiorniki telewizyjne zasilane bateriami kadmowo-srebrowymi. Miejmy nadzieję, że nasi konstruktorzy nie każą nam długo czekać na podobne odbiorniki krajowej produkcji. Ostatecznie nasze „Szarotki" i „Eltry" notowane są w czołówce osiągnięć technicznych światowej radiofonii więc...

CO NOWEGO W „PSTRĄGU"?

Łódzki teatrzyk studencki „Pstrąg" urozmaicił swoją działalność ciekawą innowacją. Obok spektakli satyrycznych teatr postanowił opracowywać również montaże poetyckie. Cykl ten zapoczątkował w ubiegłym roku „Wieczór poezji Lechonia". Obecnie zakończono prace nad montażem poświęconym twórczości Kazimierza Wierzyńskiego.

Na przyszłość zespół pragnie opracować scenicznie wiersze Zegadłowicza, Majakowskiego i Miłosza. Byłoby nieźle, gdyby szkoły średnie zainteresowały się tą stroną działalności „Pstrąga". Wieczory poetyckie opracowywane przez teatrzyk stanowić mogą cenne uzupełnienie programu szkolnego.

czytamy gdzie indziej

CO NOWEGO W „PRZEGLĄDZIE KULTURALNYM"

„Oglądałem program łódzkiego „Pstrąga" (...) nasycony infantylnymi tęsknotami: sztubackie wspomnienia, piosenki, pierwsza miłość... Nieznośna to zabawa: w wieku lat dwudziestu marzyć, że się ma czternaście..."

Jan Błoński
(„Mit odrębności" — Przegl. Kult. nr 7)

KOLOROWA OFENSYWA

Jak już podała prasa codzienna przy ul. Narutowicza w pobliżu Uniwersytetu i Biblioteki Uniwersyteckiej ŁZG Zachód otworzyły kawiarenkę-bar.

Sprawa wydawałaby się dość błaha i raczej nie zasługująca na komentarze, gdyby nie bardzo interesująca oprawa plastyczna. Cieszy nas niepomiernie, że od pewnego czasu poświęca się w naszym mieście wiele uwagi sprawom tak zwanego wystroju plastycznego w lokalach użyteczności publicznej. Piękne, nowoczesne wnętrza otrzymały po remontach popularne kawiarenki „Mariolka" i „Milusia",

bardzo ciekawie i estetycznie zaprojektowano wnętrze nowego „SAM-u" przy ul. Narutowicza itd., itd.

Słowem, barw nabiera nie tylko Piotrkowska.

JAKBY TROCHĘ WSPÓŁCZESNOŚCI

Obok dwóch sztuk współczesnych przygotowywanych przez Teatr Nowy, a będących rezultatem rozpisanego swego czasu konkursu zamkniętego — mowa tu o sztukach Jerzego Zagórskiego i Zdzisława Skowrońskiego — współczesną premierę zapowiada również Teatr Rozmaitości (druga scena Teatru Powszechnego, były Teatr Młodego Widza).

Autorem „Pokoju pełnego dymu" — sztuka ta powstała zresztą na bezpośrednie

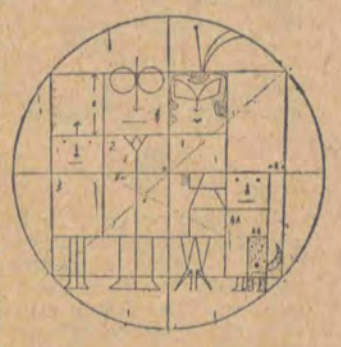

zamówienie Teatru Powszechnego — jest aktor tegoż teatru, Karol Obidniak. Utwór — rzutowany na płaszczyznę konfliktu pokoleń — mówi o grupie chuligańskiej młodzieży, która popadłszy w scysję z prawem i oblężona przez milicję w zabarykadowanym pokoju, musi dokonać ostatecznego wyboru.

Próby spektaklu, który reżysersko przygotowuje Ryszard Sobolewski, są już daleko posunięte.

gdzie w tym tygodniu

W minionym tygodniu rozwiązał się nad naszym miastem wór z wybitnymi osobistościami.

A więc przede wszystkim Artur Rubinstein — światowej sławy pianista, koncertował w Łódzkiej Filharmonii.

O problemach postępu technicznego radził z łódzkim aktywem partyjnym i gospodarczym członek Biura Politycznego KC Roman Zambrowski.

Z serią odczytów o problematyce morskiej zjawił się w naszym mieście kontradmirał Zdzisław Studziński.

Łódź gościła również w tych dniach Sławę Przybylską — bez komentarzy, oraz Zbigniewa Lengrena — świetnego rysownika, ojca „przekrojowego" profesora Filutka. A skoro już jesteśmy przy lekkiej muzie należy wspomnieć, że w minionym tygodniu występowała przed łódzką publicznością „zawsze ta sama Loda Halama".

J. W. P. Busiakiewicz

Dokończenie ze str. 5

„wielkim koncercie łodzian". „Jest tylu wybitnych łodzian rozproszonych po świecie, jak Hesse Bukowska, Alfred Orda, Grażyna Bacewicz, Aleksander Tanzman, Artur Rubinstein. Gdyby ich tak sprowadzić i urządzić wielki koncert" Gdzie? Może w Filharmonii, a może już w nowym Narodowym Teatrze. Zanim koncert się zorganizuje to i teatr wybudujemy.

Więc znowu okazja do toastu.

„Jak się słodkiego napiję wina
Rozkoszna dla mnie leci godzina..."

Cytat z „Erotyk" Franciszka Dionizego Kniaźnina, wyd. Drukarni Narodowej J. K. Mości z 1779 r. Własność: B. Busiakiewicz. Chętnie by się tę książeczkę „zabrało". Lecz gospodarz... częstuje nas z kolei koncertem orkiestry Jacka Hyltona, „który nie obraził Rachmaninowa ani jedną nutką". W tej atmosferze uciekają wszelkie grzeszne myśli.

A więc do usłyszenia w eterze!

Tekst: PAT.
Zdjęcia: BIL.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. * Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,— zł, kwartalnie 12,— zł. * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmuja wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk RSW „Prasa" Łódź, Żwirki 17 z. 542. II. 60 r. R 4

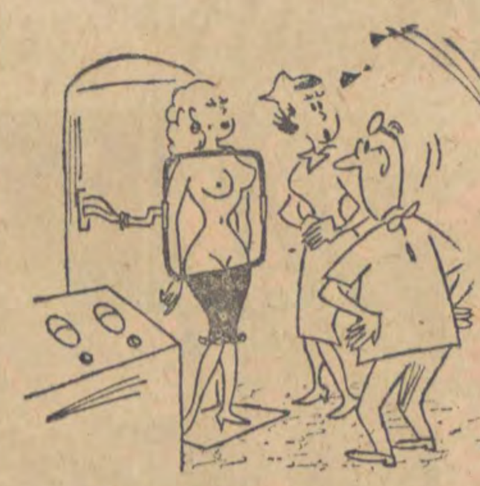

— Dziś jest bardzo słabe promieniowanie...

— Przecież to moja żona!

— Czy ten pacjent nie jest agresywny w stosunku do kobiet?

NELLIE: — Przecież miała się pani rozebrać tylko do pasa!
PACJENTKA: — No właśnie...

Najostrzejsze ołówki świata

Lawrence Katzman

Zdawać sie może, że sprawy medycyny, postacie chorych i lekarzy — nie są najodpowiedniejszym tematem do żartów. A jednak dzieje sie inaczej, od wielu lat właśnie medycyna stała sie częstym podmiotem zainteresowań humorystów, podjeli go oczywiście także autorzy dowcipów rysunkowych.

Żarty „medyczne" lubią zwlaszcza Niemcy i Amerykanie. Naprzeciw tym upodobaniom wyszli w Niemczech tacy rysownicy jak Nobert lub Erich Schmitt, autor popularnego cyklu historyjek obrazkowych o przygodach siostry Moniki. W USA podobny cykl — gdzie główną bohaterką jest również pielęgniarka, tym razem o imieniu Nellie — realizuje Lawrence Katzman (pseudonim KAZ).

Swoje dowcipy KAZ publikuje systematycznie w poważnym specjalistycznym piśmie „Współczesna medycyna". Ale łatwo się przekonać, że biały kitel siostry Nellie i cała sceneria szpitala są tylko monotonym pretekstem. W rzeczywistości owe akcesoria stanowią jedynie świetną okazję do pokazania... rozebranych kobietek i dwuznacznych sytuacji. Wszystkie anegdoty demonstrowane przez KAZ — cechuje wyraźny erotyzm.

Godzimy się z tym łatwo, niech i tak bedzie — skoro te rysuneczki są istotnie dowcipne i niepozbawione pikantnego wdzięku.

J-ERT

NASZA KRZYŻÓWKA

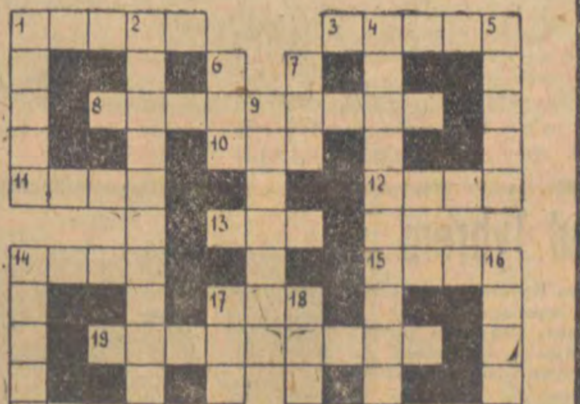

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 1) Owad, 3) Krótko sformułowana prawda ogólna, sentencja wierszowana lub prozaiczna 8) Żona Posejdona, 10) Rzeka portugalsko-hiszpańska, 11) Imię męskie, 12) Miara papieru, 13) Różanopalca bogini rozpoczynającego się dnia, 14) Zwierzę domowe, 15) Papuga, 17) Roślina włóknista, 19) Imię męskie, 20) Suche ciastko z orzechów albo migdałów i miodu 21) Oklepane powiedzenie

Pionowo — 1) Piękny owad, 2) Fakultet na wyższej uczelni, 4) Przyrodnik, 5) Organizm jednokomórkowy o zmiennym kształcie, 6) Imię męskie, 7) Jednostka pracy, 9) Stołek, 14) Pierwiastek promieniotwórczy, 16) Symbol doskonałości, 17) Pukiel włosów, 18) Dopływ Warty.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki

Poziomo — klapa, baran, kurator, kres, Kali, raid Anna, rotacja, tukan, brama.
Pionowo — konkurent, Prus, amok, nawigacja, kapitan, kefir, radna, dola, ajer.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Władysław Dydyna, Bełchatów, Liceum Ogólnokształcące, **2. Jan Zambrzycki**, Łódź ul. Źródłowa 52

Nowinki

Zapowiadane od szeregu miesięcy zmiany konstrukcyjne samochodu marki „Warszawa" zaczynają przybierać realne kształty. I tak „Motozbyt" otrzymał ostatnio samochody M-20 „Warszawa" na ogumieniu 6.40-15 (dotychczas używano ogumienia o wymiarze 6.00-16) oraz ze starterem umieszczonym w kluczyku zapłonu, podobnie jak mają wszystkie nowoczesne wozy.

Uwaga, posiadacze samochodów „Wołga"

Jak nam komunikują, radziecki producent tych samochodów zwraca uwagę wszystkich właścicieli i użytkowników samochodów M-21 „Wołga", iż do przekładni głównej powinien być stosowany wyłącznie olej hipoidalny. W okresie letnim PH 3, w okresie zimowym PHZ 2, według symboli CPN.

Warto się zastanowić

nad problemem wprowadzenia dla kierowców samochodowych specjalnych książeczek pracy.

Nie ma tygodnia aby prasa codzienna nie donosiła o wypadkach drogowych spowodowanych przez kierowców samochodowych. Raz winna była wódka, innym razem brawura kierowcy, a jeszcze innym lekceważenie przepisów drogowych. Wszystkie te przypadki mają wspólny mianownik: lekkomyślność.

Nie każdy wypadek z winy kierowcy powoduje odebranie mu dożywotnio prawa wykonywania zawodu. Po dłuższej lub krótszej przerwie taki kierowca szuka pracy w innym przedsiębiorstwie, nierzadko w innym mieście. Wiemy dobrze, jak czasami przy przyjmowaniu kierowcy do pracy trudno sprawdzić jego opinię i dotychczasową działalność w zawodzie. Często trudność ta powoduje, iż rezygnuje się lekkomyślnie z otrzymania tych informacji.

Należałoby się więc zastanowić, czy nie zaprowadzić dla trudnego i odpowiedzialnego zawodu kierowcy specjalnej książki pracy, w której byłyby odnotowywane wszystkie miejsca pracy, opinia, jaką się tam kierowca cieszył, upomnienia czy kary. Na pewno zmniejszyłaby się ilość wypadków, z których znaczny procent powodowany jest właśnie lekkomyślnością kierowców.

...o nowej plotce, kursującej na mieście?...

...mówi się o nadejściu samochodów osobowych z Francji marki Renault-Dauphine, które w ubiegłych latach były sprowadzane dla górników w ramach dewizowego funduszu górniczego. Co gorliwsi amatorzy tych samochodów poświadczają już swe podania w Automobilklubie...

...No cóż i połudzić się też warto zwłaszcza gdy chodzi o... samochód...

...w żadnym ze sklepów „Motozbytu" nie można kupić bezbarwnych (białych) szkieł do kierunkowskazów migowych, akurat teraz gdy wszyscy posiadacze „Warszaw" wymieniają przednie światła kierunkowe u tych wozów z czerwonych na białe?...

* * *

...tak ślamazarnie budowane są garaże na osiedlu przy ul. Wojska Polskiego (róg Marynarskiej i Obrońców Warszawy)?... Rozpoczęto je w lecie ub. roku i do chwili obecnej nie zdołano ukończyć, a samochody „szczęśliwych" posiadaczy przydziałów garażują na śniegu...

Sędziowie

Dokończenie ze str. 8

nie przeczytał aktu oskarżenia, nikt nie odczytał wyroku. Ale zrozumiał. „Zadorowowie rocznik 40" nie znają żadnych okoliczności łagodzących. Teraz już siedzi w trzęsącym przedziale pociągu, a wiatr szarpie drutami na ziemi kieleckiej. Dwaj chłopcy, którzy ostatni wrócili z miasta, odprowadzili go pewnie na dworzec. Przynieśli kartkę od niego: „Jeśli teraz zrobię głupstwo to z własnej winy".

* * *

Zrozumiałem tę surową sprawiedliwość następnego dnia rano. Stopy grzęzły w rozmokłym śniegu, a wiatr pędził chmury Czerwonego Widzewa. Szedłem główną ulicą Łódzkich Zakładów Włókien Sztucznych, którą chłopcy chodzą codziennie. Jacyś mężczyźni w waciakach niemrawo odwalali topniejący śnieg. Tędy przechodzili rano „Zadorowowie" w zwartym tłumie zalegi nierozpoznani, robociarskim krokiem. Wyszli poza mur studzieńskiego zakładu spojrzeli w twarz tym, którzy widzieli w nich swoich wrogów.

Na początku był mur między nimi a robotnikami. Teraz starzy robotnicy, którzy jeszcze za kapitalisty stali przy maszynach, mówią: „Róbcie tylko jak chłopaki, a produkcja będzie szła". Mówią do tych, co na papieroska znikają. A produkcja idzie. Zwolniono dwudziestu bumelantów, na ich miejsce przyjęto studzieńską wiarę.

W dusznym kantorku kierownika kadr, Drożdża, zrozumiałem resztę. Ci chłopcy są zaangażowani w rzeczywistość, którą tworzą. Od samego początku, kiedy się ich dawało do byle jakiej pracy — przy sprzątaniu terenu, przy kopaniu rowów, przy odgarnianiu śniegu. Chłopcy pracowali, trzy razy więcej od innych, a jednocześnie patrzyli. A teraz już sobie wybrali robotę. Walą prosto do majstrów mówią, żeby dawać zajęcie, bo: „Sam pan kapujesz, panie majster, produkcja i tak dalej". A majster daje robotę: „Tylko chłopaki uważajcie, nieprzerywać mi się" mówi. Jak tylko skończą, prosto do szkoły, zrobić te siedem klas i mieć spokój. Potem jedzą w fabrycznej stołówce. „Dobre jedzenie, lepsze niż w Studzieńcu, bo tamte kucharki zupełnie nie potrafiły gotować".

Chłopcy tego nie mówią. Ale wielka izba w hotelu odstrasza. Oni by chcieli mieszkać w małych pokoikach, po trzy, cztery osoby żeby było jak w domu. Chłopcy tego nie mówią. Ale w ciągu kilku miesięcy pracy w fabryce dokonała się w nich większa zmiana, niż w ciągu lat pobytu w Zakładzie Poprawczym. Z Zakładami zresztą różnie bywa, ale przeważnie można się sporo nauczyć, wymieniać doświadczenia, złe doświadczenia. Stoją teraz na pożegnanie, wyciągają ręce usmarowane smarami.

* * *

...W małym sklepiku fabrycznym, gdzie wstąpiliśmy z Kaczorowskim po papierosy, zrozumiałem do końca. Tej surowej sprawiedliwości nauczyliśmy ich — my. Wczoraj sądzili jednego spośród siebie, ale sądzili i nas. Postępuj tak, aby każdy twój czyn, mógł stać się prawem. Oni oczywiście nie znają imperatywu kategorycznego Kanta, oni go stosują. A my go nie zawsze potrafimy uznawać.

KONRAD FREJDLICH

Kolorowym atramentem

Zdumiała mnie powszechna niechęć recenzentów w stosunku do nowego filmu Wojciecha Hasa. Jakże się stało, że tak wytrawny i solidny krytyk, Stanisław Grzelecki — pozwala sobie zadać pytanie „po co ten film"?

Subtelne filmy Hasa nie miały nigdy szczęścia do krytyki. „Petla" i „Pożegnania" otrzymywały noty zaledwie dostateczne, „Wspólny pokój" doczekał się krokodylich zachwytów nad poziomem artystycznym oraz absolutnej negacji sensu jego zrealizowania. A jednocześnie wszyscy zabawili się w proroków, z góry wróżąc „Wspólnemu pokojowi" klęskę w kinach, całkowity brak powodzenia.

Pomijam etyczność takiego prorokowania. Lecz czy przypadkiem ujemna ocena „Wspólnego pokoju" nie wynika właśnie z przyłożenia doń miary frekwencji widzów?

„Wspólny pokój" jest na pewno filmem trudnym. Pod chropowatą powierzchnią pewnej skłonności do celebrowania nastrojów, pod powierzchnią nierównego aktorstwa, irytującej maniery plastycznej — kryje się soczysty miąższ podtekstów, rozważań moralnych i psychologicznych. Chodzi w filmie Hasa, z pewnością głębszym niż jednoznaczna książka Uniłowskiego — o najbardziej zawikłany problem natury ludzkiej: szczerość wobec samego siebie. Wszyscy niemal mieszkańcy pokoju Stankonisowej są zakłamani. To wcale nie bieda, ani nieszczęśliwa miłość, ani brak „perspektyw", ani nawet choroba — podcinają skrzydła młodym artystom. I nikt z nich nie przyzna tego — bo inaczej musiałby się przyznać do własnego lenistwa, bezbalencia, masochistycznej pasji pławienia się w nieustannym poczuciu własnej „niemożności". Oto zagadnienie, które może być ważniejsze i bardziej współczesne od udokumentowanych rozważań na temat stosunku wydawców do młodego pisarza przed iluś tam laty, zagadnienie pasywności i wygodnictwa ludzi.

Taki jest jedyny wymiar hasowskiej wersji „Wspólnego pokoju". Twórca „Petli" zrobił znów film psychologiczny i jedynie w takim wymiarze należy go oceniać.

Tymczasem rozlega się głośne wołanie, że film Hasa jest nic nie wart, bo jest ahistoryczny, bez tzw. tła społecznego, bez jednoznacznych ocen. Bo cóż innego znaczą wątpliwości krytyków, jak nie żądanie filmu „z tezą"?

Oczywiście, można było zrealizować „Wspólny pokój" na zasadzie dydaktyzmu. Można się było poddać najsłabszym walorom książki Uniłowskiego i nakręcić miłosny melodramat.

Do takich postulatów prowadzi ogromny nacisk żelaznych konwencji przeciętnej produkcji światowej, łekkostrawnej papki made in Hollywood, lub made in Łakowa. Urobiło się powszechne przekonanie, że skoro film jest sztuką najpopularniejszą — musi być z natury rzeczy sztuką łatwą nie pozostawiającą żadnych marginesów do indywidualnych ocen i odczytań i prawie każda próba która chce także margines pozostawić — pragnie się już instynktownie urąbać na stereotypowe kopyto.

Mam dla Hasa wiele szacunku że nie poddał się łatwym schematom filmu dydaktycznego a niedoli artystów w dwudziestoleciu ani też konwencjom efektownego romansu w trójkącie Salis-Teodozja-Leopard.

JANUSZ WEYCHERT

Dwie premiery filmów polskich

„WSPÓLNY POKÓJ"

(patrz felieton „Kolorowym atramentem")

„TYSIĄC TALARÓW"

Po wielkim nieporozumieniu jakim było zrealizowanie filmowe „Cafe pod Minogą" i kilku mniejszych nieporozumień z cyklu serii „Anatolów", warto odnotować wejście na ekrany nowej polskiej komedii, a raczej groteski filmowej wg scenariusza E. Niziurskiego i St. Wohla.

„Tysiąc talarów" reżyserii Wohla dotyczy absurdalnego zakładu na dotarcie pieszo spod Radomia do Krakowa w stroju kąpielowym. Bardzo dobrze się stało, że realizatorzy potraktowali całą sprawę jako okazję do zabawy — „bawimy się my, bawią się aktorzy, śmiejecie się i wy na widowni". Słusznie zrezygnowali z owej napuszoności z jaką została mocno kiczowato wycelebrowana wspomnianą „Cafe pod Minogą". Pomysły sytuacyjne, spięcia komediowe w „Tysiącu talarów" są chyba tak stare, jak owe talary w złocie zamurowane za kominkiem. Niemniej nawet na widok gościa topionego wiejskim żurawiem w studni można się serdecznie uśmiać. Zasługa to na pewno nie wiejskiego żurawia i innych akcesoriów, ale naprawdę świetnego zespołu wykonawców. Tym razem reżyser nie zmarnował żadnej okazji dla ukazania vis comica takich aktorów jak Irena Kwiatkowska, Jarema Stępowski, Aleksander Dzwonkowski, Stefan Bartik, Roman Kłosowski i Bronisław Darski.

Co można zarzucić tej zabawie za tysiąc talarów? Przede wszystkim pewne podobieństwo w rysunku niektórych bohaterów i użyciu rekwizytów. Czy zawsze bohaterów z opresji mają wybawiać dobre duchy przodków lub dobre wróżki, jak to było na przykład w „Kaloszach szczęścia"? Czy zawsze ci wybawiciele muszą posługiwać się pojazdami latającymi (latający talerz u reżysera Bohdziewicza i balon u reżysera Wohla)?

Dość jednak wybrzydzania na rekwizyty, gdy widzowie bawią się i serdecznie śmieją, a przecież chyba o to przede wszystkim chodziło realizatorom.

A. N.

ŁÓDZCY aktorzy FILMOWI

URSZULA MODRZYŃSKA

Pochodzi z Torunia. Pierwsze kroki na scenie stawiała w Bydgoszczy, następnie grała w Poznaniu, w Kaliszu, a teraz w Łodzi, gdzie cieszy się dużą popularnością. Znamy ją z filmów: „Pokolenie", „Kariera Nikodema Dyzmy", „Wraki", „Deszczowy lipiec", „Ostatni strzał". Oprócz filmu pracuje od roku 1953 w zespole aktorskim łódzkiego Teatru im. Stefana Jaracza. Ostatnio grała w „Henryku IV" i „Przepióreczce". Jest pełną wdzięku młodą kobietą, mamą 9-letniego Staszka, żoną nie mniej sympatycznego i popularnego aktora Zbigniewa Józefowicza.

— Jaką rolę będzie Pani grała po zakończeniu realizacji „Krzyżaków", w których ujrzymy Panią jako Jagienkę?

— Trochę pana zaskoczę gdy powiem, że uczę się w tej chwili „roli"... kierowcy „Syrenki", która była moim i męża marzeniem. Poza tym o planach filmowych nie mogę powiedzieć nic konkretnego. Chwilowo zaabsorbowana jestem rolą Jagienki w „Krzyżakach"

— A w teatrze? — wtrącam.

— Nasz teatr jest w generalnej przebudowie, praca zespołu wskutek tego została poważnie ograniczona.

— Może więc pomówimy o przeszłości. Osobiście bardzo podoba mi się postać Doroty w „Pokoleniu" A. Wajdy. Czy Pani również przyjemnie wspomina tę rolę?

— Trudno powiedzieć „nie" ale przyznam się panu, że za swoją najlepszą rolę filmową uważam o wiele mniejszą, prawie epizodyczną Zulę w „Karierze Nikodema Dyzmy" reżyserii Rybkowskiego. Zagrałam w tej roli kilką naprawdę interesujących scen z Adolfem Dymszą. Inna sprawa, że również rolę Doroty i współpracę w „Pokoleniu" z Tadeuszem Łomnickim grającym rolę Stacha i reżyserem A. Wajdą bardzo sobie cenię. Łomnicki to naprawdę dobry partner.

— Czy będąc w wieku, kiedy dziewczynki marzą kim chciałyby zostać, przewidywała Pani swój zawód aktorski?

— Wprost przeciwnie. Nigdy o tym nie myślałam. Będąc w gimnazjum uczyłam się również gry na skrzypcach i dałam nawet dwa koncerty szkolne. Dużą wagę przywiązywałam do uprawiania sportów — pływania i gimnastyki. Staram się te moje zamiłowania sportowe przekazać moiemu Staszkowi. W szkołach, według mnie, za mało poświęca się uwagi gimnastyce i wychowaniu fizycznemu.

Dlaczego jednak jestem aktorką? Może podziałał zachęcająco przykład mojej siostry również aktorki — Heleny Makowskiej. Zawodu aktorskiego, gdybym miała jeszcze raz wybierać, nigdy nie zamieniłabym na inny.

— Czy dostaje Pani listy od sympatyków i wielbicieli?

— Listy przychodzą ciągle, wszyscy proszą o wysłanie im fotosów. Niestety, jest to sprawa bardzo trudna do zrealizowania.

— Czego można Pani życzyć?

— Oczywiście nowej roli w filmie i teatrze. To przecież dla nas aktorów jest najmilsze i najważniejsze. Z niecierpliwością czekam na premierę „Krzyżaków".

— I my czekamy nie mniej niecierpliwie na ten film, jak i na inne Pani role filmowe i teatralne. Dziękuję za pyszną kawę i czas poświęcony na rozmowę.

Rozmawiał
A. NIEŚMIAŁEK

Bondarczuk nad Tybrem

Jest jesień, roku 1943. Nad Rzymem i większą częścią ziemi włoskiej rozciąga się noc okupacji. Rozpoczyna się najcięższy dla tego kraju okres wojny — gdy po kapitulacji Badoglia, Niemcy przedzierzgnęli się z „sojuszników" w jawnych okupantów i ciemiężycieli ludności włoskiej. Ale także Ruch Oporu krzepnie i narasta, do akcji sabotażowych dołącza się coraz częściej walka z bronią w ręku, powstają i rosną wciąż w siłę partyzanckie oddziały.

W tym właśnie czasie z niemieckiego obozu jeńców udaje się zbiec trzem ludziom. Różnią się stopniem wojskowym, zawodem, narodowością.

Oto początek filmu „W Rzymie była noc" realizowanego obecnie przez Rosselliniego. Film ten nawiązuje do tradycji słynnego „Rzym miasto otwarte". Lecz tym razem bohaterami są nie tylko Włosi. I nie tylko oni biorą udział w realizacji. Rolę angielskiego majora odtwarza Anglik, Leo Genn; rolę żołnierza amerykańskiego — Amerykanin, Peter Baldwyn; a rolę radzieckiego sierżanta — znajomy nam dobrze Sergiusz Bondarczuk. Główne role kobiece powierzono Giovannie Ralli i Laurze Betti.

Bondarczuk nie odszedł w tym nowym filmie daleko od bohatera „Losu człowieka". Jest także wojskowym szoferem, jeńcem wojennym. Lecz tym razem — losem jego staje się jeszcze walka na obcej ziemi; wypadło mu stać się towarzyszem broni ludzi innej narodowości — lecz walczących z tym samym wrogiem i o tę samą sprawę. W nowej roli — pozostał wierny sobie.

Po raz pierwszy zdarzyło się aby we Włoszech realizowano film przy współpracy aktora radzieckiego. Ale rzeczywistość była inna. Niejeden Iwan, zbiegł z niemieckiego obozu, zasilił szeregi włoskich partyzantów. Te czasy zapragnął właśnie przypomnieć Rossellini — teraz gdy zmierzch zimnej wojny daje nowe nadzieje na realizację współistnienia.

HALINA JABCZYŃSKA

Dawn Addams